



W KIOSKU GROZY...

Rewelacyjny reportaż
o czynie mordercy Cybul-
skiego we wnętrzu numeru!

Nr. 8

18 LUTEGO 1934 roku.
Rok IV. Cena 30 groszy.
W Czechosłow. Kc. 1-20

Nad Europą i nad całym światem od dawna już gromadziły się czarne chmury. Raz po raz rozlegały się grzyny, gdzieś daleko od wschodu to znów od zachodu. Powietrze było parne i ciężkie. Groziła burza... Ale z końcem grudnia wydawać się mogło, że jednak horyzont nieco się wyjaśnia. Grzyny przycichły, ciężkie olowane chmury zaczęły się powoli rozchodzić. Aż to nagle 5-go lutego trzasnął piorun, w nadsekwanskiej stolicy i uderzenie jego głośnie cichem potoczyło się po Europie.

Po raz pierwszy od czasu komunty t. j. od lat 63 lud paryski wystąpił zbrojnie na ulicy, po raz pierwszy wojsko i policja użyły broni palnej, po raz pierwszy bruki paryskie zacerwieniły się krwią w walce bratobójczej. Defraudacje Stawiskiego zakrojone na olbrzymią skalę, odkrywając całą gniliznę moralną rządu i parlamentaryzmu francuskiego, okazały się tą ostatnią kroplą goryczy, która przelała czarę cierpliwości społeczeństwa. Jak już pisaliśmy na tych łamach miesiąc temu choroba, którą ujawnił skandal Stawiskiego, należała do rzędu tych od których czasem giną ustroje i przepowiadanie nasze spełniło się. Ustrój zatrzęszał w posadach — połała się krew.

Przez cztery dni w Paryżu toczyły się walki. Olbrzymie rzesze demonstrantów ze wszystkich możliwych ugrupowań politycznych od monarchistów do komunistów z uczestnikami wielkiej wojny na czele, śpiewając Marsyljanke to znów międzynarodówkę, wznosząc okrzyki „niech żyje król!” i „niech żyją Sowiety!” zgodnie ławą atakowali parlament i rząd.



W kole: Manifestanci przed wieżą Eifla w Paryżu (zdjęcie nocne). Na lewo: Oddziały Heimwehry w przejeździe na wozach ciężarowych pod parlamentem wiedeńskim. Bliżej: Wojska rządowe wyposażone w karabiny maszynowe przybywają przed ratusz wiedeński. Na prawo: Barykady na



Placu Zgody w Paryżu. Bliżej: Demonstranci podpalają autobus na jednej z ulic Paryża. Poniżej od lewej: Kompleks budynków robotniczych, t. zw. „Karl Marx-Hof” w Wiedniu, zbombardowane ostatnio przez wojska rządowe. Poniżej: Pogrzeb ofiar ostatniej rewolty paryskiej.



Paryż, stolica świata, tonął w mroku. — Paryż stolica kultury sprowadzał pulki kolonialne dzikich wojowników z nad Nigru dla ochrony swych rządowych gmachów, przeciw wściekłości własnych mieszkańców. Policja szarżowała na tłumy, gwardja republikańska odparła je salwami i dziwną ironią losu najkrwawsze starcia toczyły się na Pl. Zgody (Place de la Concorde).

W ślad za Paryżem ruszyła i prowincja. Krwawe demonstracje przeciw rządowi powtórzyły się w niemal wszystkich większych miastach. Cały naród zażądał kategorycznie ustąpienia rządu i parlamentu.

Prezes ministrów p. Daladier przez 24 godziny bronił swej władzy ostrzami bagnietów. Ale po 24 godzinach musiał ustąpić przed potężniejszym głosem ludu, który do-

Co będzie dalej, co przyniesie jutro pozostaje narazie zagadką — wielką niewiadomą. Czy gniew ludu zamilknie tak samo szybko jak wybuchł czy dalej życie potoczy się tym samym torem, czy też może Francja zdobędzie się na reformę swego ustroju stworzy sobie rządy trwałe, mocne i sprawiedliwe. Oto są te dwie drogi, które wybrać musi wielka republika.

Burza nad starą Austrią.

Jakby prawem serji nim jeszcze ucieliły strzały na ulicach Paryża, nim jeszcze obeschły kałuże krwi na Polach Elizej-



STANISŁAW SZCZESNOWICZ
em. naddirektor Zakładu kary.

OMYŁKI SĄDOWE.

4)

Dzień 4 maja 1900 był właśnie dniem tragedji na nowym posterunku Zaborowskiego w Skale nad Zbruczem. Nowy jego przełożony respecjent Julian Pilecki, wiedząc o skłonności Zaborowskiego do pijaństwa, wyznaczył mu posterunek graniczny w takich miejscach, gdzie nie było karzmy. 4 maja 1900 r. wyznaczył mu posterunek, nie pamiętając o tem, w pobliżu szynku. Zaborowski miał tam oczekiwać na wozy przybywające z Rosji i konwojować je do urzędu celnego w Skale.

Nieszczęśliwy nałóg pociągnął go do pobliskiej karzmy. Tu, jak podaje akt oskarżenia, wypił Zaborowski tylko pół litra wódki i 12 bomb piwa. W czasie tej libacji w towarzystwie jakiegoś przegodnego przyjaciela nadjechała fura z Rosji i nie zastawszy strażnika, wysłała jednego z furmanów do budynku Straży Skarbowej. Respecjent Pilecki wybrał się wskutek tego w towarzystwie nadstrażnika Kornela Drohomireckiego na poszukiwanie Zaborowskiego. Udał się do owej karzmy. Karzmarz, widząc przez okno nadchodzących przełożonych Pileckiego, ukrył go w alkie-rzu i oznajmił Pileckiemu, że Zaborowski z niego był, ale już poszedł. Zaborowski wtedy prze-
szedłszy, jakiś czas, opuścił karzmę i starał się niespostrzeżenie dostać do ~~wozu~~ na drodze. Było już jednak za późno, gdyż ~~resp. strażnik~~ i jego towarzyszy objęli sami konwoj fur i szli na przódzie. Zaborowski pomimo wypicia wielkiej ilości alkoholu, oprzytomniał i wzięwszy kara-
min w

prawą rękę (powyżej zamku do biegu) biegł szybko drogą, nawołując przytem furmanów, aby się zatrzymali, a gdy to nie skutkowało, zatrzymał się chwilę i jak twierdził potem, miał wystrzelić z karabinu rzekomo na alarm. Strzału tego nikt nie słyszał. Następnie wziął znowu karabin do prawej ręki i biegł za furami, wołając kilkakrotnie po rusku: Stijte... syny. Nawoływania te słyszał wprawdzie Pilecki, lecz kazał furmanom jechać dalej.

Zadyszany biegiem w ogromnym rozdrażnieniu i strachu przed odpowiedzialnością spocony dobiegł wreszcie Zaborowski do konwoju i stanął przed resp. Pileckim, trzymając karabin w jednej ręce, jak podczas biegu i w tem — jak podaje akt oskarżenia padł strzał z odległości jednego kroku od Pileckiego a kula trafiła tegoż, jak wykazała sekcja, 2 cm. poniżej ostatniego zębra prawej strony ciała i wyszła na wysokości kości biodrowej, nie naruszając jednak kości. Lekarz, opisując zranienie, podał w protokole sekcji: „i to jest kąt nachylenia pod którym padł strzał”.

Bezpośrednio po tym strzale, jak twierdzi akt oskarżenia, Pilecki i towarzyszący mu nadstrażnik Drohomirecki rzucili się na Zaborowskiego, odebrali mu karabin z ręki i wyjęli z jego pochwy szablę a następnie obaj, dobywszy swoich szabel, zaatakowali Zaborowskiego, mierząc w jego głowę. Wtedy Zaborowski odpaśł pas, na którym wisiała pochwa od palasza opatrzonego u dołu okuciem metalowym i broił się od natarcia, wywijając tym pasem z wiszącą na nim pochwą ponad swoją głowę. Przytem drasnął metalowym okuciem Pileckiego w wierzach głowy.

Wśród tej walki upadł Pilecki na ziemię i zemdlal. Akt oskarżenia dodaje, że Zaborowski pastwił się nad swoją ofiarą, raniąc go pochwą w wierzach głowy.

Zaborowski tymczasem widząc, że Pilecki upadł na ziemię zemdlony i myśląc, że już nie żyje, poszedł sam na posterunek żandarmerji i zameldował ko-

mendantowi: „Aresztujcie mnie, bo zastrzeliłem respecjenta Pileckiego”. Żandarm, robiąc doniesienie, podał, że Zaborowski przyznał się temi słowami do zamordowania respecjenta.

Zaborowskiego aresztowano i odstawiono do więzienia Sądu obw. w Tarnopolu. Dla miasteczka Skala wypadek ten był naturalnie w pełnem znaczeniu tego słowa głośną sprawą. Języki kumoszek poszły w ruch, opowiadano sobie na ucho różne plotki, świadkowie i nieświadkowie opowiadaniem swemi balamucili siebie i innych, a cichem tych pogłosek była wprost sprzeczna z prawdą korespondencja w „Dwutygodniku Straży Skarbowej” z dnia 16 maja. Pisano tam: „Nadstrażnik Zaborowski, ujrząwszy respecjenta, zaraz w pierwszej chwili złożył się z karabinu i zawołał: i tu mnie będziecie kontrolować, potem wypalił, trafiając go w okolicę serca, a nadto widząc, że Pilecki żyje, usiłował go dobić, uderzając leżącego pochwą bagnietu po głowie. Morderca w tej strasznej chwili okazał zupełną obojętność, odprowadził konwoj do urzędu cłowego, poczem udał się wprost do Oddziału, nie okazując żadnego żalu lub wzruszenia”.

Korespondencja ta napisana jeszcze przed przelucianiem świadków okazała się w świetle rozprawy najwykleszszym fałszem. Zaborowski zanim jeszcze stanął przed Trybunałem, był już potępiony przez opinie. Dziwić się jednak należy, że sąd przysięgłych zachował się tak samo bezkrytycznie jak opinia. Dziwić się należy, że prokurator brał pod uwagę nie tylko fakty potrzebne do wykazania winy, ale także częściowo kłamstwo podane w „Dwutygodniku Straży Skarbowej” — jeszcze przed przesłuchaniem świadków, jakoby Zaborowski pastwił się nad swą ofiarą i dobił ją pochwą od szabl.

Opinia publiczna wpłynęła widocznie nie tylko na prokuratora i sędziego śledczego, lecz także i na rzeczoznawców lekarzy wydelegowanych przez sąd do zbadania Zaborowskiego pod względem psychicznym.

Jak mi opowiadał Zaborowski, później sam już jako więzień oraz jego brat i dawny opiekun Emil Zaborowski, lekarze rzeczoznawcy (fizyk powiatowy i jakiś felczer) wcale Zaborowskiego nie badali. Fizyk odczytał się do niego słowami: Ty morderco, twój zabiciecia już stoi!, a następnie, zwracając się do felczera: „Panie Kolego chodźmy, tu niema co badać”, poczem obaj wyszli i więcej się u Zaborowskiego nie pojawili.

Do rozprawy, wyznaczonej na 13 listopada 1900 r. zawezwano w ostatniej chwili obrońcę z urzędu, który przyszedłszy na salę rozpraw, oświadczył, że nie może prowadzić obrony, gdyż nie zna zupełnie faktów. W odpowiedzi na to przewodniczący oświadczył, że sąd powołał uchwałę w tej sprawie, a po naradzie odrzucił sąd rozprawę... na trzy godziny.

Obrońca, pokazując Zaborowskiemu ogromny konwolut aktów jego sprawy grubości trzech paleców powiedział mu, że nie jest w stanie zaznaczyć się ze sprawą, wobec czego nie będzie aktów wogóle czytał i żeby Zaborowski sam się bronił.

Zaborowski tak w śledztwie jak i na rozprawie przyznawał się szczerze do wszystkiego, co go obciążało mogło, przeżył jednak stanowczo, jakoby miał zamiar zamordowania Pileckiego, jakoby do niego strzelał z nienawiści czy zemsty i zapewniał, że padł ofiarą wypadku, którego zresztą nie może wytłumaczyć, ani wyjaśnić.

Przy rozprawie odczytano protokół sekcji, lecz nie zastanawiano się nad tem, jaki był kąt nachylenia, pod którym padł strzał. Odczytano także protokół zeznań Pileckiego, który w nocy po wypadku jeszcze żył i zeznał zgodnie z świadkiem nadstrażnikiem Drohomireckim, że Zaborowski strzelając, wcale nie mierzył i karabin trzymał w pozycji jak do biegu w jednej ręce, t. lufa do góry a kolba na dół, nazywając tę pozycję jak w regulaminie wojskowym austriackim „in die Balas”.

Jak rzeczoznawca broni zeznał (rusznikarz wojskowy): „Karabin ten ma zamek mocny, a do ściągnięcia kurka trzeba obciążenia cyngla ciężarem wagi 2 kg., wobec czego przypadek jest wykluczony”.

Lekarze rzeczoznawcy, którzy mieli badać stan umysłowy Zaborowskiego, orzekli, że Zaborowski był nałogowym alkoholikiem i dlatego niewykła ilość trunków wypitych w karzynie przed dokonaniem zbrodni nie działała na niego. W związku z tem uznali go poczytalnym i odpowiedzialnym za swoje czyny.

W toku rozprawy zgłosił się w sądzie brat Zaborowskiego z prośbą o przesłuchanie, lecz przewodniczący miał oświadczyć, że to pewnie taki sam pijak jak jego brat i do przesłuchania nie dopuścił. Brat ten, który mi to opowiadał w Tarnopolu, zmarł, jak się niedawno temu dowiedziałem, podczas wojny światowej. Sąd przysięgłych w Tarnopolu uznał Zaborowskiego winnym zbrodni morderstwa, a Trybunał orzekł karę śmierci przez powieszenie. Karę tę darował Zaborowskiemu cesarz.

Do odcierpienia kary dożywotniego więzienia odstawiono Zaborowskiego w marcu 1901 r. do lwowskiego Zakładu Karnego, gdzie go dyrektor zakładu przydzielił do zajęcia w kancelarii. W tym czasie pełniłem w tym zakładzie służbę zarządcy i jako taki byłem kierownikiem działu rachunkowego, kasowego, robocznicy i spraw gospodarczych, zaś sprawy osobiste więźniów należały do zakresu działania dyrektora zakładu.

Zauważyłem, że w tym czasie Zaborowski nie przestawał z innymi więźniami, zachowywał się wzorowo, był zamyślony i zamknięty w sobie. Przy pracy kancelaryjnej sporządzał czystopisy korespondencji, miał bowiem ładne pismo.

W rok potem, w maju 1902 zostałem zamianowany dyrektorem Zakładu Karnego w Winičcu, a tuż przed odjazdem do Winičca dowiedziałem się, że Zaborowski miał w kaźni atak epileptyczny, co le-

Już trzeci dzień walki trwają, wszystkie oddziały wojska, żandarmerji i policji biorą udział w bitwach, ale to słowo wszystko, nie przedstawia znów tak wielkich sił zbrojnych. Austria posiada zaledwie siedem tysięcy żołnierzy i mniejszej drugie tyle policji, lotnictwa, czołgów i ciężkiej artylerji niema, ponadto jest co prawda jeszcze słynna Heimwehra lecz jej liczebność również nie przekracza kilkunasty tysięcy, a w dodatku o słabej wartości bojowej Schutzbund natomiast socjalistyczny dysponuje co najmniej 40.000 ludzi zorganizowanych po wojskowemu, uzbrojonych w karabiny maszynowe i granaty ręczne a jak donoszą ostatnie telegramy i w artylerję zdobyta przez nich wraz z fabryką broni w Steyer.

Schutzbundowcy mimo bezustannych ataków wojska i huraganowego ognia artylerji napierają coraz silniej — wyparoli z jednej pozycji szturmem zdobywają drugą. Dollfuss broni się z zacięłością i niesłychane wprost okrucieństwem. Rozgrywają się mrozące krew w żyłach sceny. Ustanowione w Wiedniu sądy doraźne skazują na karę śmierci przez powieszenie wziętych do niewoli powstańców. Wczoraj powieszono jednego z nich nazwiskiem Münnichreiter, który był ciężko ranny i ze szpitala na noszach przewieziono go pod szubienicę. Podobnie potworne czyny, jak również burzenie przez artylerję całych nowoczesnych dzielnic robotniczych — czyny na które nawet nie poważyla się najkrwawsza w dziejach świata rewolucja rosyjska wzmagają jedynie zacięłość socjalistów, którzy widzą, że jeśli przegrają to zgina.

„Wulkan austriacki może wywołać pożar Europy” — woła zaniepokojona prasa francuska. Francja specjalnie żywo odzyskuje te wypadki, gdyż przed kilku dniami miała



Już dawno Lwów nie przeżywał takich straszliwych wrażeń, jak obecnie. Na ulicach wszystkich mieszkańców znajduje się sprawa potwornego morderstwa, dokonanego w kiosku przy ul. św. Zofji. Najbardziej jednak sprawa zainteresowała koła lekarskie miasta, które analizują poszczególne fazy zbrodni z punktu widzenia psychiatrii nowoczesnej, oraz sfer prawniczych, które zastanawiały się nad problemem, czy Cybulski słaniec ma przed sądem doraźnym, czy sądem przysięgłych. Obecnie dopiero w świetle dochodzeń policyjnych i sądowych powstać zwyrodnialec okazuje się we właściwym momencie. — Cybulski przedewszystkiem trzykrotnie zmieniał zeznania. Najpierw twierdził, że śp. Szewówna popełniła samobójstwo, potem dopiero pochwytano ją jej zwłoki; potem

W KIOSKU CYBULSKIEGO. (od naszego kor.).

libacje z kobietami najgorszego autoramentu. Coraz bardziej staczał się na dno, holdując najniższym instynktom człowieka zwyrodniałego, znajdującego rozkosz w widoku krwi i męczarniach ludzi i zwierząt. Stałe otaczal się degeneratami. Jednego z nich, niejakiego Plegera, syna tercjana sąsiedniej szkoły, znał Cybulski od dłuższego czasu. Przyjaźnił jednak zapalał do niego wówczas, gdy się dowiedział, że młodzieniec usiłował odebrać sobie życie przez podeszczenie gardła brzytwa. Cybulski prosił go usilnie, by mu pokazał miejsce, w którym się zranił.

Nie był to jednak jedyny wypadek, w którym zwyrodnialec okazywał żądze oglądania ran i krwi. W pobliżu „kiosku grozy” mieścił się szkoła dla niedorozwiniętych umysłowo dzieci. Pewnego dnia ze szkoły wyszło dziecko, dotknięte głuchotą. Chłopak potknął się i upadł, rozbijając sobie nos. Z powodu krwotoku przeniesiono chłopca do kiosku Cybulskiego, gdyż tenże okazał gotowość przysięcia dziecku z pomocą, mimo, że w sąsiedztwie znajduje się ambulatorium Kasy Chorych. Gdy chłopca przeniesiono do kiosku Cybulskiego umyślnie przedłużał krwotok, rozkoszując się widokiem krwi. Kilka dni przed zbrodnią jakaś kobieta, przechodząca przez jezdnię upadła tuż przy krawężniku, na którym stoi kiosk Cybulskiego. Lekarze pospieszyli jej z pomocą i opatrywali rany na twarzy i głowie. Cybulski z zapalem oglądał spływającą krew ofiary wypadku, nie reagując wcale na fakt, że w tym samym momencie, wprost w jego oczach, jakiś przechodzień dokonywał w jego kiosku kradzieży. Po odwiezieniu ofiary wypadku do szpitala Cybulski obiema rękami ocierał z jezdni ślady krzepnącej krwi.

Niemniej Cybulski miał satysfakcję z odzierania

apodał, że sam ją otrul, aż wreszcie zeznał, że nieprawdą jest, jakoby chciał wypróbować siłę działania sinku potasu, lecz denatka sama nieświadomie to uczyniła. Największą rewelację jednak stanowił fakt, że biegli sądowi po tych zeznaniach Cybulskiego już przy pierwszych badaniach chemicznych stwierdzili, iż w tkankach zwłok Szewówny wogóle niema śladów trucizny.

Jeśli chodzi o samą sprawę lwowskiego Kürtena to jest ona z punktu widzenia patologii kryminalnej na terenie Lwowa unikatem. Cybulski, z wyglądu ludzako podobny do „upiora z Düsseldorfu”, po półtorarocznym, spokojnym pożyciu małżeńskim zaczął trwonić majątek na

libacje z kobietami najgorszego autoramentu. Coraz bardziej staczał się na dno, holdując najniższym instynktom człowieka zwyrodniałego, znajdującego rozkosz w widoku krwi i męczarniach ludzi i zwierząt. Stałe otaczal się degeneratami. Jednego z nich, niejakiego Plegera, syna tercjana sąsiedniej szkoły, znał Cybulski od dłuższego czasu. Przyjaźnił jednak zapalał do niego wówczas, gdy się dowiedział, że młodzieniec usiłował odebrać sobie życie przez podeszczenie gardła brzytwa. Cybulski prosił go usilnie, by mu pokazał miejsce, w którym się zranił.

Nie był to jednak jedyny wypadek, w którym zwyrodnialec okazywał żądze oglądania ran i krwi. W pobliżu „kiosku grozy” mieścił się szkoła dla niedorozwiniętych umysłowo dzieci. Pewnego dnia ze szkoły wyszło dziecko, dotknięte głuchotą. Chłopak potknął się i upadł, rozbijając sobie nos. Z powodu krwotoku przeniesiono chłopca do kiosku Cybulskiego, gdyż tenże okazał gotowość przysięcia dziecku z pomocą, mimo, że w sąsiedztwie znajduje się ambulatorium Kasy Chorych. Gdy chłopca przeniesiono do kiosku Cybulskiego umyślnie przedłużał krwotok, rozkoszując się widokiem krwi. Kilka dni przed zbrodnią jakaś kobieta, przechodząca przez jezdnię upadła tuż przy krawężniku, na którym stoi kiosk Cybulskiego. Lekarze pospieszyli jej z pomocą i opatrywali rany na twarzy i głowie. Cybulski z zapalem oglądał spływającą krew ofiary wypadku, nie reagując wcale na fakt, że w tym samym momencie, wprost w jego oczach, jakiś przechodzień dokonywał w jego kiosku kradzieży. Po odwiezieniu ofiary wypadku do szpitala Cybulski obiema rękami ocierał z jezdni ślady krzepnącej krwi.

Niemniej Cybulski miał satysfakcję z odzierania

skóry z żyjących jeszcze lub zabitych zwierząt. W lecie n. p. zabito w podłuzi kiosku kreta. Szybko podniósł kreta z chodnika i zdarzył zeń skórę, rozciągnął ją na swym stole, na którym jadł. Ubiegał się też wielokrotnie o padlinę psów i koni, z której potem zdierał skórę. Przykłady zwyrodnienia C. można cytować bez końca. Świadczy o nie zwykłym nastawieniu psychicznym zbrodniarza i jakimś niesamowitem, nakabrycznym jego usposobieniu. Należy przypomnieć fakt, że w chwili aresztowania Cybulskiego, siedząc spokojnie w swoim kiosku, krajał nożem słoninę, którą z apetytem zapadał. Krajał ją tym samym nożem, którym przed chwilą ewartował zwłoki tragicznie zmarłej kobiety.

U boku sadysty.

Ilustracją mentalności Cybulskiego i niejako zwierciadłem jego duszy są informacje jego żony Zofji, która ze łzami w oczach opowiada o latach spędzonych u boku tego człowieka. Poznała go we Lwowie, dokąd przybyła z Wiednia. Cybulski był posterunkowym policji, jednak służbę pełnił bardzo krótko, gdyż za niesubordynację został szybko zwolniony. W tym właśnie czasie zachorowała ciężko i Cybulski zajął się jej losem. Ze względu na to, że otoczył ją opieką, przywiązała się doń i zyskała doń zaufanie. W rezultacie kilkutygodniowego narzeczeństwa poślubiła się. Owocem małżeństwa jest 9-letni dziś syn Zbyszek, pozostający na wychowaniu u znajomego Cybulskiego, p. Marjana Pobożnika, w którego realności Cybulscy kiedyś nie szkali. Mimo najciślejzych węzłów miłości, jakie kiedyś łączyli żonę z mężem, Zofja Cybulska nie szczędzi słów pogardy i nienawiści pod jego adresem. Zawsze ją maltretował i bił. Dwukrotnie usiłował ją zamordować, przyczem raz w nocy rzucił się na nią z brzytwa w ręce, tak, że musiała w bieżnię uciec do sąsiadów. Kiosk prosperował doskonale, wszystkie jednak dochody Cybulski przeznaczał na wyżywienie i namiętności, wykorzystywali go gdzie tylko mogli. Wobec takiego trybu życia męża Cybulska musiała sprzedać lub zastawić całą biżuterję i pościel, aż wreszcie zrozpaczona opuściła męża i zamieszkała przy rodzinie Marjana Pobożnika, który ją przygarnął wraz z dzieckiem. Cybulska podaje wkońcu, iż znając zwierzęce wprost instynkty męża, momentalnie po przeczytaniu pierwszych lakonicznych notatek o znalezieniu pochwytanych zwłok — pomyślała, że zbrodnia ta jest dziełem jej męża Hieronima.

Niemniej ciekawą charakterystykę osoby Cybulskiego stanowią informacje Marjana Pobożnika, który opiekuje się obecnie dziewięcioletnim Zbyskiem Cybulskim. Wedle słów jego Cybulski był już przed wojną znany jako kobieciarz. Z zawodu był piekarzem. W roku 1911 Cybulski wstąpił do wojska austriackiego i przeszedł kolejno kampanię rosyjską i włoską, a na polu bitwy został ranny szrapnelem. Później brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej i już jako plutonowy uzyskał szereg odznaczeń. Po wojnie jako inwalida, Cybulski otrzymał koncesję na kiosk na rogu ulicy Poniatowskiego. Przez cały czas pożycia małżeńskiego, Zofja Cybulska przechodziła gehennę, aż wreszcie opuściła męża i wyjechała do Złoczowa w poszukiwaniu pracy. Zaopiekował się więc opuszczonym dzieckiem, które mimo, iż liczy lat dziewięć, zdaje sobie sprawę z tego co zaszło. Nazajutrz po zbrodni, Pobożnik przyprowadził dziecko do kiosku ojca i czynił mu wyrzuty z powodu złego traktowania żony i pozostawienia Zbysia na pastwie losu. Wówczas Cybulski dla uspokojenia płaczącego synka podarował mu parę rekawiczek, jak się potem okazało damskich, będących własnością śp. Szewówny.

Ciekawe pamiątki.

W roku 1926 Cybulski usiłował popełnić

W roku 1926 Cybulski usiłował popełnić

W roku 1926 Cybulski usiłował popełnić

W roku 1926 Cybulski usiłował popełnić

W roku 1926 Cybulski usiłował popełnić

Kwestia sądu doraźnego jest uzależniona od parere lekarzy psychiatrów, którzy badają stan umysłowy Cybulskiego. Dochodzenia jednak prowadzone są nadal w trybie doraźnym, przyczem dochodzeniami tymi objęci są: Cybulski, Kołodziej oraz Obacz, woźny uniwersytecki, który dostarczył lwowskiemu Kürtenowi trucizny.

W poniedziałek odbył się wreszcie pogrzeb ofiary bestrzalskiego mordu na emientarzu janowskim. Wbrew staraniom koleżanek zabitej nie pozwolono im na zajęcie się obrzędem pogrzebowym, gdyż rodzina śp. Szewówny załatwiła to własnym kosztem. Pochówano w dębowej trumnie i pochowano na emientarzu janowskim.

Dokończenie na str. 6-iej.



Powyżej od lewej ku prawej: Tłumy ludzi otaczające kiosk Cybulskiego podczas wizji lokalnej. Komisja sądowno-sledcza znajduje w śniegu obok kiosku resztki zwłok. — Aspirant P. P. Respondek podczas dochodzeń na miejscu zbrodni. — Hieronim Cybulski (x) w chwili po opuszczeniu karetki policyjnej podczas wizji lokalnej.

W roku 1926 Cybulski usiłował popełnić

W roku 1926 Cybulski usiłował popełnić



Na prawo: Zbyszek Cybulski, 10-letni syn zbrodniarza. — W kościele: Zofja Cybulska, żona zbrodniarza.

POKĄTNA CUKIERNIA.



Znaleziono podejrzaną pakę na przedmieściu Gdyni

Gdynia, w lutym.

Gdy swego czasu donosiliśmy, iż w lesie podgdyńskim znaleziona została beczka syropu cukrowego, sprawa była jeszcze tajemnicza. Ale od tego miejsca w ustroniu leśnym rozeszły się wnet wywiady zrecznych ścieżki, których zakończeniem: rewizja w domku Słowika Romana, na parceli Orła, w Chylonji. Rewizja niespodziana — to bardzo często 5 procent szans powodzenia. Tak też było i w tym wypadku: z początku oburzenie, perswazje... a potem: w kotle od prania bielizny — gotujący się syrop ze zmiotków cukrzanych, a w stodole — 26 worków takich zmiotków, og. wagi około półtora tysiąca kg. brutto. Ponadto beczki z syropem w nawozie, beczki z syropem zakopane w ziemi.

Słodkie, a nawet upajające bogactwo, oddane było, prócz tego, w depozyt sąsiadowi; olbrzymie butle z winem owocowym, były tam takie, co 25 litrów zawierały.

U tegoż sąsiada — Richtera Ferdynanda — znaleziono worek z korespondencją „biurową”. Bo przedsiębiorstwo szło całą parą, „urzędowało” wydatnie.

Zachodzi odrazu pytanie: jakim sposobem i skąd takie ilości cukru się tu brały? Oto, co wykazuje śledztwo: Richter Ferdynand, drogerzysta o bardzo szerokim rozgałęzieniu zawodowym, przywoził do Słowikowej zagrody słomę z portu, którą otrzymywał bezpłatnie w magazynach „Cukroportu” Nr. 2 i 3, należących do Warsz. Towarzystwa „Transportowego”.

Pracowały siły murarskie w tajemniczej zagrodzie Słowika i cukier ze słomy przesiewały. Ze zmiotków tych na światło dzienne wychodził cukier, wprawdzie czerwony, ale — cukier. Następnie wygotowywane były worki i płachty, cukier zawierający i „fabrykanci” uzyskiwali z tego syrop, który okoliczni sprzedawcy wprost rozchwytywali, a to ze względu na bezkonkurencyjną cenę. Byli też i podróźnicy, których zadaniem — zachwalanie towaru. Byli i dostawcy zupełnie zgniłych owoców, z których wyrabiano wino. Całe rodziny pomagały — zgodnie i konspiracyjnie, w fabrykowaniu tych „specjałów”. — Obecne śledztwo ustala, kto i gdzie od spożywania takich zachorował, gdyż nie zachorować — według przeprowadzonych analiz — było nieprawdopodobieństwem.

Z. d'Erceville.

W kiosku Cybulskiego.

(Dokończenie ze str. 5-ej)

Na tem zakończyła się pierwsza faza dochodzeń w trybie doraźnym, prowadzonych przez Wydział Śledczy i prok. dra Mostowskiego.

Z kolei sprawa przeszła do sędziego śledczego, któremu psychiatrzy przedłożyć mają decydujące orzeczenie, mające rozstrzygnąć o sędzie doraźnym. Ważkim momentem dla sprawy było definitywne stwierdzenie, że w tkankach zwłok nie znaleziono śladów trucizny, co wskazuje, że Cybulski najpierw zamordował swą ofiarę, a następnie ją poćwiartował.

Stwierdzono dalej, że zachodzi tu typowy wypadek nekrofilji, zbeszczeszczenia trupa. Działal on, jak sadysta, pędził jednak sadystryczny — jak stwierdzają lekarze — nie pokrywał się wcale z nieodpornym przymusem działania. Cybulskiemu jednak nie wystarczał widok trupa, szukał on zadowolenia w oglądaniu poćwiartowanych części zwłok.

Ponieważ Cybulski w ciągu swych spokojnych, a nawet logicznych (choć zmiennych) zeznań raz po raz wtracał, że został w czasie wojny kontuzjonowany szrapnelem, prok. dr. Mostowski zarządził krótką przerwę obserwacji psychiatrycznych i polecił odwiedzić Cybulskiego do szpitala powszechnego. W szpitalu poddano Cybulskiego prześwietleniu roentgenowskiemu, a potem dokonano zdjęć roentgenologicznych mózgu. Potem Cybulskiego odwieziono zpowrotem do dyspozycji lekarzy-psychiatrów. Ich prace potrwać jeszcze kilka dni, poczem orzeczenie na piśmie przesłane zostanie sądowi.

Nawet policja czeska interesuje się Cybulskim. Lwowskie władze bezpieczeństwa otrzymały od policji czeskiej pismo o nadesłanie fotografii i odcisków daktyloskopijnych zbrodniarza, oraz o stwierdzenie, czy Cybulski nie opuszczał Lwowa w listopadzie i grudniu 1932 r. W tym bowiem czasie zamordowano w Bratysławie Różę Vraňską, której zwłoki poćwiartowane zostały zapakowane do walizy i zostawione w wagonie.

Badanie, czy Cybulski zraniony został w czasie wojny odłamkiem szrapnela w głowę (co mogłoby stać się podstawą do wniosków o ograniczeniu poczytalności zabójcy), nie wykazały niczego pozytywnego.

Ostatnim świadkiem słuchanym w postępowaniu wstępnym była legendarna „Olga”, która spędziła ostatnią noc z Cybulskim w kiosku przed jego aresztowaniem. Okazała się nią Ksenia S. dawna znajoma mordercy. Cybulski posiadał we Lwowie liczną rodzinę.

emers.

Wilno

(od naszego korespondenta).

Od dłuższego czasu krążyły po Wilnie uporczywe pogłoski o potajemnym domu gry, mieszczącym się w samym centrum miasta — w jednej z najokazalszych kamienic przy ul. Garbarskiej. Opowiadano sobie na ucho o bajecznym wprost urządzeniu lokalu, o uprzejmej, ubranej we fraku służbie męskiej i o tem, że ten dom był przeznaczony tylko dla kobiet. To też niejeden, informując swego sąsiada, opowiadał z dyskretnym uśmiechem: „Możesz tam spotkać panią doktorową, względnie przesową, dy-

światło na schodach, usłyszał jakieś podejrzaną szmery. Przypuszczając, że na strychu znajdują się złodzieje, zaalarmował III komisariat. Niezwłocznie przybyło kilku posterunkowych, którzy z przygotowanymi do strzału rewolwerami w ręku i latarkami udali się na strych, gdzie spostrzeższy kryjące się w ciemności sylwetki, krzyknęli: „Ręce do góry” i jednocześnie oświetlili wnętrza latarkami. Jakież było ich zdumienie, gdy poznali znajome twarze funkcjonariuszów wydziału śledczego. Nieporozumienie wnet się wyjaśniło. Posterunkowi opuścili strych, oświadczając stojącemu na dole dozorcę, iż nikogo nie znaleźli.

Po odejściu policji mundurowej wywiadowcy przystąpili do działania. Jeden z nich wszedł na dach domu, przymocował do muru powrót i spuścił się na nim do wnętrza komina. Inni zaś zeszli po schodach i oczekiwali przed

Salon gry „pani Olesia”



rektorową, etc., która od dłuższego czasu ginie nam z oczu”. Dom ten był otoczony nimbem tajemnicy, co powodowało, że krążyły o nim najrozmaitsze i najfantastyczniejsze wersje. Wiele starało się tam dostać, wszelkie jednak usiłowania były bezskuteczne.

Pogłoski te, krążące z początku tylko wśród stałych bywalców kawiarni i kabaretów, dotarły również i do uszu policji, która bezwzględnie rozpoczęła śledztwo. Stwierdzono niedługo, iż tajny salon gry znajduje się w jednym z mieszkań domu przy ul. Garbarskiej 7.

„Piękna pani Olesia”.

Od tego czasu policja stale obserwowała podejrzaną kamienicę. Już w pierwszych dniach stwierdzono, iż istotnie w obserwowanym mieszkaniu odbywają się jakieś podejrzané schadzki. Od godziny 8 do 10 wieczór przed wspomnianą kamienicę zajeżdżały auta i dorożki, przywożąc kobiety, przeważnie elegancko ubrane. Piękne pasażerki, wysiadając z pojazdów, dyskretnie oglądały się poza siebie i ginęły w czeluściach bramy. Dopiero nad ranem wychodziły stamtąd najczęściej bardzo zdenerwowane i zmęczone, o czem wyraźnie świadczyły podkrążone oczy i zapadłe policzki. Pewnego razu jeden z przechodniów, idąc ulicą Garbarską, usłyszał urywki rozmowy, prowadzonej przez dwie kobiety, po opuszczeniu wspomnianego domu. Dowiedział się wówczas, iż właścicielką zakładu jest niejaka „piękna pani Olesia”, bardzo miła i serdeczna osoba, która jednak nieznosi sprzeciwu i... nie daje kart na kredyt.

Perypetje dzielnych wywiadowców.

Wydział śledczy postanowił położyć kres działalności „pani Olesii”. W tym celu wydelegowano kilku co sprytniejszych wywiadowców, którzy udali się na ulicę Garbarską i mieli przeprowadzić rewizję w podejrzanym mieszkaniu. Narazie jednak zaniechali tego, rozumując słusznie, iż sama rewizja nie przyniesie wiele korzyści, a tylko obudzi czujność „pani Olesii”. To też wywiadowcy „wkradli” się niepostrzeżenie na strych domu i ukryli się tam, oczekując odpowiedniego momentu, by nakryć jaskinię. Widocznie niezbyt cicho się tam zachowali, gdyż dozorca, gasząc

U góry:
Wilno, Garbarska 7 — w tym domu mieścił się salon gry Blartkiewiczowej.

Na prawo: Aleksandra Blartkiewiczowa.

drzwiami kuchni. — Tymczasem dzielny wywiadowca szezęśliwie wyładował w kuchni, w której wyjątkowo nie było nikogo. Szybko podbiegł do drzwi. Na szczęście klucz był w zamku. Przekreślił go i wpuścił do wnętrza kolegów. Następnie wszyscy, mając przygotowaną broń, wtargnęli do salonu. Obecnie byli tak pochłonięci grą, że nie zauważyli w pierwszej chwili niepożądanych gości. Za dużym stołem, pokrytym zielonym sukniem, siedziało kilka niewiast, które namiętnie grały w „makao”. Na środku stołu stał bank. Wywiadowcy nałożyli areszt na bank i sporządzili protokoły, w których uwidocznił nazwiska pięknych graczek. Przy sprawdzaniu dowodów tożsamości stwierdzono, kto jest osławioną „panią Olesią”. Okazała się nią niejaka Aleksandra Blartkiewiczowa, którą zatrzymano.

Policja wileńska prowadzi obecnie dalsze dochodzenie, starając się ustalić, od jak dawna istniał ten dom, kto grał i jakie sumy były przegrywane.

Wykrycie jaskini hazardu, w dodatku dokonane w tak niezwykłych okolicznościach, wywarło w całym mieście wrażenie. Obecnie tylko o tem mówią wszędzie, a nawet po cukierniach i kawiarniach kursują rozmaite na ten temat niesamowite wiadomości.

Częstochowa (od naszego korespondenta).

Nie bardziej nie usposabia do zawierania łatwych znajomości, jak przedział wagonu kolejowego, gdzie niejednemu, zmuszony do przesiadywania przez czas dłuższy, skazany na nudę bezczynności — a w innych warunkach niezbyt skory do nawiązywania stosunków towarzyskich — z zadowoleniem podchwytuje możliwość urozmaicenia sobie długiej i monotonnej podróży. Cóż dopiero mówić o tych, którzy grzeszą zbytnią cnotą towarzyską, o takich, którzy radzi wyzyskiwać każdą okazję do „wygadania się”, względnie poznania młodej i uroczej kobiety, która, kto wie, jak dalece miłą być potrafi...

Nie dziwnego, że tę skłonność podróżujących postanowili wyzyskać bardziej wytworni złodzieje, którzy za teren pracy obrali sobie pociągi. Jednak przejście z rozmowy do „zoperowania” jest sprawą dość trudną i dlatego banda złodziei kolejowych dla ułatwienia sobie zadania postanowiła działać przy pomocy dwóch niezawodnych sprzymierzeńców — kobiety i narkotyku.

Piękna blondynka.

W pociągach, kursujących na szlaku kolejowym Warszawa—Częstochowa, Katowice—Kraków, widywano często piękną i młodą, platynową blondynkę o niewinnym spojrzeniu naiwnej istoty, ubraną wytwornie, o manierach wysoce ujmujących, która zajmowała miejsce albo w pustym coupe I-szej czy II-giej klasy, przyciągając siłą swego magnetycznego spojrzenia jakiegoś eleganckiego pasażera, względnie siadała w przedziale, gdzie znajdował się samotny podróżny, obładowany walizkami, z masą etykiet hoteli zagranicznych. Pasażerka miała słabość jedynie do panów zamożnych, którzy na pierwszy rzut oka zdradzali suto wyposażony portfel, względnie kosztowną treść waliz. Dama pograżała się z początku w lekturze jakiegoś francuskiego romansu, od czasu do czasu jedynie rzucając powłóczyście spojrzenia przepastnych oczu na towarzysza podróży. Dopiero, gdy ten, zaintrygowany jej pięknnością i znużony wlokącym się wolno czasem, zdradzał gwałtowną chęć rozmowy, wówczas z rąk pięknej nieznajomej wypadała wonna chusteczka koronkowa, albo książka zsuwała się z kolan.

A później, jakże szybko toczyła się wartka pogawędka, skacząc z tematu na temat, jak pieśczętliwie wydawały się cienie, o lśniących lakierem paznokciach, paluszki —

trzymające z wdziękiem wyciągniętą ku nowopoznanemu srebrną, damską papierosnicę... Któż oparłby się takiej propozycji, kto nie skorzystałby z okazji, aby wypalić tą jedyną w swoim rodzaju „fajkę pokoju”? Czasem zamiast papierosnicy, gdy okazało się, że elegancki pan nie pali, dama wyciągała z podróżnego neseseru małą buteleczkę wina i płaską szklankę. Wino pachniało upajająco, a rączka wyciągnięta z napojem drżała zapewne w przeżuciu bliskich upojnych chwil. Czyż znalazłby się mężczyzna, któryby odmówił wypicia tak słodkiego „brudersaftu”? Nie zdarzało się to nigdy. Mężczyzna jest zwykle dość ufnym, kobieta aż nadto przebiegłą. Dlatego to tak chętnie palono owe papierosy, wychylano duszkiem płaską szklankę wina, a potem łatwowierny pasażer uczuwał miłą ociepłość, dziwną senność i przez pół tylko słyszał to, co mówiła doń lekko pochylona nad nim piękność. Zaledwie odczuwał jej delikatne wstrząsanie jego ramieniem i jak przez mgłę przypominał sobie jej przytulne pieścizły.

Pociąg mknął szybko naprzód, przystawał przez chwilę na stacji, konduktor przechodził obok zapuszczonych rolek przedziału, aż dopiero na ostatniej stacji, która niekoniecznie była celem podróży śpiącego pasażera, budził się wielbiciel ponętnej kobiety po to tylko, aby skonstatować z przerażeniem, iż walizy jego zostały ogolobcone z najkosztowniejszych przedmiotów, a on sam ze wszystkich posiadanych przy sobie pieniędzy. Nie każdy w tym

wypadku miał odwagę meldować o kradzieży policji — ludzie żonaci, a takimi przeważnie były ofiary pięknej blondynki, krepując się łatwo zrozumiałymi względami, inni wstydzą się poprostu własnej łatwowności i dla tego większość woli przeboleć stratę w milczeniu. — Jednak byli i tacy, którzy poczęli meldować władzom policyjnym o interesującej damie, wskutek czego zainteresowano się ową usypiaczką. Wreszcie pewnego dnia został okradziony z kosztowności pewien dyplomata angielski, wobec czego postanowiono za wszelką cenę wykryć bandę...

Trafiła kosa na kamień.

Przed kilkunastu dniami do jednego z pociągów zdążających po tej samej linii wsiadł w Warszawie nieprzeciętnej urody i nader wytwornie ubrany młody człowiek, za którym tragarz wniósł kilka walizek, tytułując pasażera „panem hrabią”. Tytuł szybko podchwycił konduktor i podróżny w glori arystokratycznych dostojności zasiadł w coupe, rozkładając na stoliczku zagraniczne i krajowe czasopisma. Nagle w chwili, gdy pociąg już miał ruszyć, do przedziału wtargnęła młoda i ładna dama, która mimo uwagi konduktora, iż są jeszcze miejsca wolne i w innych przedziałach, zapytała „hrabiego”, czy nie będzie mu przeszkadzać. W odpowiedzi młody dżentelmen zdjął kapelusz i wytwornym gestem zaprosił uroczą nieznajomą do środka. Tym razem obyło się bez kłopotu. Pan chętnie podtrzymywał rozmowę, częstował towarzyszkę bananami i pomarańczami, śmiał się i żartował, a potem, kiedy pierwsze lody zostały przełamane, flirtował wcale niedwuznacznie. Pani czuła się świetnie. Jej czujna uwaga została nieco uspiąta — towarzyszył był interesujący, a przytem rozbrajająco naiwny. — Z tym nie będzie wiele kłopotu — pomyślała wyrafinowana istota, częstując go w połowie drogi papierosami. „Hrabia” chętnie wyjął z papierosnicy cieniutkiego „damesa”, ucałował pachnące paluszki, a jednocześnie w sposób niedostrzegalny zanurzył rękę z papierosem w kieszeń od marynarki, wyciągając z niej zapalniczkę i... innego papierosa. Dama tak była zajęta pocałunkiem, iż nie zauważyła manewru, natomiast z zadowoleniem stwierdziła po jakimś czasie, iż głos hrabiego małowieje, ruchy stają się ociężałe, a oczy przy-
mknęły mimowoli...

Kiedy nieznajomy poczęł zasypiać, piękna blondynka sięgnęła niecierpliwie swą subtelnie wprowadzoną dłoń do kieszeni marynarki, gdzie mężczyźni zwykle trzymają pugilares. Szybko przyniósł się on do jej wytwornej torby. Za chwilę pociąg stanął... Z sąsiadującej z owym wagonem trzeciej klasy wyszło na peron dwóch mężczyzn, dama skinęła niedostrzegalnie przez opuszczoną szybę i przez okno poczęła podawać owym osobnikom walizki. Nagle ciężka dłoń przycisnęła jej ramię. — „Dość tej komedji — rzekł mocnym głosem „hrabia” — ani kroku dalej!”. Szybkim ruchem odwrócił kłapę marynarki, błysnął znacząco tajnej policji. — „Helka Kropidło” osunęła się na siedzenie, walizka zatrzymana wpół drogi spadła na podłogę coupe, przesywający gwizd rozdarł powietrze i biegający policjant rzucił się ku owym dwóm osobnikom, którzy usiłowali ukryć się w tłumie.

Tak ujęto w sposób dowcipny i nie zwracający uwagi bandę usypiaczy kolejowych, która przez pewien czas grasowała nieuchwytnie na owym szlaku. Duszą bandy okazał się owa piękna i młoda pani, 24-letnia Helena Kropiwnicka z Warszawy, rejestrowana przez policję dziewczyna lekkich obyczajów, której współnikami byli 28-letni Jan Stefański i Moszek Sonenfold, kilkakrotnie karany „mojkarz”.

Sprytnie przez policję zaaranżowana komedia pozwoliła „nakryć” nie tylko samą usypiaczkę, lecz także jej spółników, którzy używali jej jako narzędzia do ograbiania podróżnych.

Niechaj historia powyżej opisana posłuży za ostrzeżenie dla lekkomyślnych pasażerów, których uroda przy-
padkowych towarzyszek podróży zachęca do łatwych a tak niebezpiecznych znajomości.

S. S.

...po chwili pociąg pospieszny zatrzymał się na stacji...

...w pociągach widywano piękną blondynkę.

...przedział pierwszej i drugiej klasy był terenem operacyjnej bandy...

PRZYGODA DETEKTYWA CHARLAMBA.



Z badania sąsiadów udało się ustalić, że po raz ostatni widziano Hirsza w towarzystwie jakiegoś chłopca około lat 18, ubranego w nieprzemakalne palto, czapkę i trzymającego jakąś walizkę czy kuferek. Widziano go składającego dosyć często wizyty Hirszowi. Nikt jednak nie słyszał ani zauważył go w noc śmierci. Zresztą w tej dziedzinie nikt zbytnio nie interesuje się sprawami sąsiadów, troszcząc się przedewszystkiem o swoje bezpieczeństwo.

Autopsja też nie specjalnego nie wykazała. Na lewo: Mały domek Hirsza. Na prawo: Stanisław Jaworzyński. — Na lewo niżej: Hirsz.

Nie chcąc jednak niczego zaniedbać, udał się pod wskazany adres, gdzie ku zdziwieniu sprawdził, że mieszka rzeczywiście Stanisław Jaworzyński z matką.

W godzinę potem St. Jaworzyński, wracając do domu został zaarrestowany. Skonfrontowano go z p. Jolivet. Ten ostatni potwierdził stanowczo swe poprzednie zeznania, również sąsiedzi Hirsza rozpoznali w nim chłopca, widzianego w towarzystwie Hirsza.

Odciski palca znalezione na biurku Hirsza porównane z odciskiem palca St. Jaworzyńskiego okazały się identyczne.

St. Jaworzyński posiadania i zmiany owych 1000 fr. wcale się nie wypierał, twierdząc, że otrzymał je od Hirsza. Ale pytania, za co je otrzymał i skąd go zna, zbył milczeniem, oświadczając, że nie więcej nie powie prócz tego, że to nie on zabił. Sędzia śledczy w tych okolicznościach wyznaczył mu adwokata z urzędu i wydał rozkaz przeniesienia Jaworzyńskiego do więzienia prewencyjnego.

Podejmując się obrony.

W kilka dni potem pani Jaworzyńska, matka Stanisława, zwróciła się do mnie z prośbą o wyświetlenie tej sprawy. — Gdyż je-

U dołu na lewo: Paweł Feret. -- U dołu na prawo: Marja Kuniec.

Parýz
(od naszego koresp.)

W poniedziałek około 8-ej rano, przechodząc mało uczęszczanymi ulicami, ciągnącemi się niedużo bulwarem Mortier a cmentarzem Pere Lachaise, niedaleko dawnych fortyfikacji paryskich, posterunkowy Albert Verdier zatrzymał się nagle. Znajdował się przed małym drewnianym partem domkiem. Rodzaj małego ogródka czy podwórka dzielił go od ulicy, a furka zarządzała i kawałki drzewa powiązane drutem tworzyły rodzaj ogrodzenia.

Ta furka nawpół otwarta, jak i drzwi domu, oraz silne światło, jakie było z jednego okna, pomimo jasnego dnia, zwróciły uwagę posterunkowego. Verdier, który od dawna służył swą spełniając w tej dzielnicy, znał dobrze jej mieszkańców.

Wiedział więc, że w tym domu mieszkał handlarz niby to starożytności, a właściwie starych rzeczy, który kupował i sprzedawał wszystko, począwszy od obrazów i mebli, a skończywszy na ubraniach, bieliznie, kufkach i pustych butelkach.

— Oto co jest dziwne — pomyślał, — stary Hirsz jest znany z swego skąpstwa, dlaczego więc pali światło, gdy świeci słońce? Hm, prawda, że on ma przeciwieństwo bzik.

W rzeczywistości, dziwne zachowanie się Hirsza wyrobiło mu u sąsiadów reputację człowieka zwarjowanego. Najpobłażliwiej nazywali go starym maniakem. Albert Verdier wzruszył ramionami, postąpił kilka kroków dalej i znowu zatrzymał się jakby wbrew swej woli. Wszystko to wydawało mu się dosyć dziwnem. Ten nieduży domek ze swym światłem, palącym się w jasny dzień miał w sobie coś przejmującego.

— Wejść zobaczyć — zdecydował się — może stary Hirsz jest chory? Po chwili znalazł się w rodzaju korytarza. Cały domek składał się z dwóch części pokoju. Na lewo był t. zw. magazyn, zarzucony rozmaitemi rzeczami, a na prawo pokój, w którym paliło się światło. Posterunkowy wsunął głowę przez drzwi otwarte i mimowoli krzyknął.

Na środku pokoju w katuży krwi leżał starzec. Verdier rozpoznał Hirsza i zbliżył się do niego w nadziei, że żyje jeszcze. Ale ciało było już zimne. Verdier wyprostował się i uważając, aby niczego więcej się nie dotknąć, pobiegł do Komisarjatu. W pół godziny później sędzia śledczy ze swym sekretarzem, komisarz i inspektor policji przybyli na miejsce.

Wiadomość o śmierci Hirsza rozeszła się już po dzielnicy i tłum ciekawych zgromadził się przed domem.

W poszukiwaniu śladów.

Pokój, gdzie znajdowało się ciało starego Hirsza, był dosyć duży z dwoma oknami a umeblowanie składało się z łóżka, biurka, na którym stała paląca się duża lampa, paru krzeseł i kasy ogniotrwałej szeroko otwartej, w której znajdowały się papiery, listy, kwity lombardowe, ale ani śladu pieniędzy.

Sędzia śledczy razem z inspektorem rozpoczął pracę. Niektóre gazety wspominały o tym fakcie w kilku zaawansowanych liniach. A że cały Parýz był zajęty sprawą Stawiskiego, zabójstwo Hirsza przeszło prawie niepostrzeżenie.

Śledztwo zaś ani na krok się nie posunęło. Naprawdę specjalści z oddziału tożsamości fotografowali kilkanaście razy kase, meble i rzeczy, na których spodziewali się odnaleźć odciski palców mordercy. Udało im się wprawdzie sfotografować jeden odcisk palca na biurku, ale po sprawdzeniu w archiwum Prefektury Policji okazało się, że posiadacz jego jest tam zupełnie nienowoznany.

prócz ustalenia, że Hirsz został w nocy z niedzieli na poniedziałek uderzony jakimś temtem narzędziem w głowę, co spowodowało pęknięcie czaszki i śmierć natychmiastową. Cała ta sprawa została narazie odłożona, gdyby nie to, że na 4-ty dzień po zabójstwie Hirsza, zgłosił się do Prefektury urzędnik z oddziału banku Kredytu Ljońskiego, który zadeklarował, że w sobotę przed samą dwunastą czyli przed zamknięciem wypłacił 4 tysiące franków Hirszowi, staremu klientowi banku, posiadającemu konto około 110 tysięcy franków.

Było już późno, urzędnik sadząc, że już więcej nie będzie klientów, zliczył i zapisał numery większych banknotów, jakie posiadał w kasie. Ponieważ zaś Hirsz był ostatnim, któremu uczynił wypłatę przed zamknięciem banku, więc z łatwością może powiedzieć, jakie numery nosiły cztery bilety ljońskie wypłacone Hirszowi.

Policja wiedziała już więc, że owe 4 tysiące franków, zabrane zostały przez zabójcę, gdyż trudno przypuścić, aby Hirsz, znany ze swego skąpstwa, wydał je od soboty w pątnie do niedzieli w nocy, gdy został zabity.

Stanisław Jaworzyński posiadacz banknotu 1000 franków.

Rozesłano więc inspektorów po całą dzielnicy, aby sprawdzić czy przypadkowo nikt nie zapłacił czegoś lub nie zmienił tysiąca franków oznaczonego owym numerem.

Nie liczono wiele na to, gdyż zabójca, jeśli miał choć trochę sprytu, to albo zmieniłby te pieniądze czy wydał je w innej dzielnicy lub poza Parýzem, albo w każdym razie poczekalby trochę z tą zmianą.

Trzeba tu dodać, że piąta czy szósta osoba zapytana, a mianowicie p. Jolivet, krawiec na ulicy Belleville przypomniał sobie, że w sobotę popołudniu miał klienta, który obstał u niego ubranie i dał mu jako zadatek 200 fr., prosząc o zmianę tysiąca, oznaczonego poszukiwanym numerem. Naturalnie inspektor, czyniąc wywiad szczegółowy, że natrafił na ślad, zapytał czy zna nazwisko owego klienta.

— Nic łatwiejszego — odpowiedział p. Jolivet — mamy zwyczaj, jeśli chodzi o obstałunek, prosić o nazwisko i adres, które zapisujemy. Służy to nam później do przysyłania katalogów. Klient, zmieniający 1000 franków nazywał się — rzek, zaglądając do kroniki — Stanisław Jaworzyński, ul. Melmontant 317.

— Naturalnie fałszywy adres i nazwisko — zauważył inspektor — ale mamy w każdym razie opis pana klienta, lat około 20-tu najwyższej wysokości wzrostu, nieprzemakalne palto. Wystarczy zacząć od dnia miary.

Na prawo: Dworzec Północny (Gare du Nord).

stem pewną — rzekła, wznosząc na mnie wybladłe zmęczone oczy, że mój Staś niedolny jest kogoś zabić. — Prawdą jest — dodała ze łzami, że ostatnio towarzystwo, w jakim się Staś obracał, nie podobało mi się. Dobrze, skromne zajęcie w biurze rzucił — mówiąc, że to nie dla niego zajęcie grypiorka za 700 franków miesięcznie. A pytania me, czym się zajmuje, zbywał odpowiedziami, że to jego rzecz i że zajmuje się interesem. Co pan chce — nie miałam możliwości go skontrolować, a zresztą zawsze byłam słabą wobec niego, za bardzo go kochałam.

Poczem prosiła, abym się zajął jego obroną niezależnie od adwokata, ponieważ on sam z niewiadomych przyczyn upiera się przy zgonem dla niego milczeniu. Pierwszym moim czynem było zobaczyć się ze St. Jaworzyńskim. Po otrzymaniu pozwolenia od sędziego śledczego udałem się do t. zw. Depot, gdzie po kilku formalnościach zostałem zaprowadzony do niego. Dość wysoki, błąd chłopiec o dużych ciemnych oczach. Powiedziałem, w jakim celu przyszedłem, że uczyniłem to na prośbę matki, która płacze i martwi się. Prosiłem o ułatwienie mi meej misji, o powiedzenie prawdy lub danie jakichś wskazówek, abym mógł przekonać sędziego śledczego o jego niewinności.

— Ale me prośby pozostały bez skutku. Gdy wspominałem o staruszce matce, która chora jest ze wstydu i rozpacz, zbłądł jeszcze więcej, poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, lecz opanował się, zacisnął zęby i na wszelkie swe tłumaczenia i pytania odpowiadał:

— Nie zabiłem Hirsza... On mi sam dał 1000 franków. —

Gdzie spędziłem noc z 14-go na 15-go stycznia nie powiem, żeby mi nawet głowę ucieli.

Opuściłem go widząc, że się nic od niego nie dowiem.

Z Depot udałem się do mieszkania Hirsza z kluczem powierzonym mi przez sędziego śledczego.

Na miejscu zastałem wszystko w tym samym stanie, jak w momencie rozpoczęcia śledztwa. Kałuża krwi na podłodze tworzyła plamę. Zbadałem cały domek szczegółowo, choć wiedziałem, że to zbyteczne, gdyż każdy mebel, każdy centymetr podłogi został obejrzany przez inspektorów. W pokoju, w którym leżał Hirsz nie znalazłem niczego, prócz znanych mi już rzeczy.

Bilet metra.

Wszedłem wreszcie do pokoju, który służył za skład rzeczy, których kupnem i sprzedażą zajmował się stary Hirsz. Były tu dwa obrazy, kilka foteli i książek, jakieś stare łóżko białe polakierowane, pochodzące z jakiegoś szpitala i dziecinny wózek. Ale widocznie specjalnością Hirsza były palta i walizki, gdyż naliczyłem tam pierwszych przeszło 20, a rozmaitych palt aż 14-cie. Walizki były wszystkie puste a w większej części palt nie znalazłem adresu krawca, który wypruto, co nie zdziwiło mnie zbytnio, gdyż Hirsz miał zwyczaj przepłania własnych etykiet.

Przejrzałem kieszenie palt i w jednej z nich znalazłem bilet z metra, wykupiony na dworcu Północnym (Gare du Nord), ale wydane go już 2 tygodnie temu.

W książce czy romansie policyjnym, detektyw, znajdujący się na moim miejscu, znalazłby już napewno jakiś papier czy niedopałek z papierosa, spinkę, szpil-

kę od krawata lub guzik, któreby go naprowadziły na ślad mordercy.

Niestety na nic podobnego nie natrafiłem i wyszedłem stamtąd bez żadnego planu ani myśli przewodniej, nie znalazłszy nie prócz biletu z metra, który machinalnie włożyłem do kieszeni.

Ogarnęło mnie zniechęcenie, gdyż czułem, że cała ta sprawa wcale nie postępuje.

Właściwie bez żadnego określonego celu udałem się na dworzec Północny. Ot tak na chybił trafili, aby się czemś zająć, bo fakt, że znalazłem bilet podarty z tego dworca niczego nie dowodził. Tysiące ludzi wysiadało dziennie na tej stacji. Kreśliłem się z godzinę, napróżno czegoś oczekując i zupełnie zniechęcony wstąpiłem do Komisarjatu dworcowego. Na zapytanie moje czy nie godnego uwagi się nie zdarzyło, odpowiadano mi, że oprócz kilku skarg podróżnych na skradzenie rzeczy, o niczem specjalnem nie mogą mnie poinformować. — A co to za rzeczy skradziono? — spytałem od niechcenia. — Kilka walizek i palt — odpowiedział inspektor komisarjatu — ale oczekujemy więcej skarg, gdyż wielu podróżnych nie podało ich jeszcze.

Większość bowiem kradzieży miała miejsce na kilka minut przed odejściem pociągów, podczas gdy podróżni spacerowali na peronie, czekając na odjazd. Większa część pisała kilka dni później po przybyciu na miejsce, podając spis rzeczy zawartych w walizkach.

A nie udało się wam schwycić złodzieja czy złodziei? — spytałem.

Inspektor wzruszył ramionami. — Co pan chce — rzekł — jest nas trzech. Każdy z nas przydzielony do służby na dworcu od kilku już lat, każdego też złodzieje mają oku. Wtedy, gdy pilnujemy jednego z 22 pociągów, odjeżdżających w przeciagu każdej godziny, nigdy w nim kradzieży niema. Postawiliby policjanta w mundurze czy nas, skutek byłby ten sam.

— Ale pan powinien ich schwycić — dodał ironicznie — detektyw międzynarodowej policji — w dodatku nieznanzy z zupełnie na dworcu, to rzecz dla pana.

— Kto wie — odrzekłem, myśląc o jednym, a mianowicie: biele z dworca Północnego, kradzieży palt i walizek na tym dworcu i o paltach i walizkach, jakie widziałem w składzie Hirsza i kilku etykietach zauważonych na walizkach, noszących nazwy miast, znajdujących się właśnie na liniach z dworca tego prowadzących.

Przy pracy.

Nazajutrz około 9-tej wieczór, godzinie, w której odchodzi kilka ekspresów międzynarodowych, znalazłem się na dworcu Północnym. Miałem podróżne palt i czapkę oraz walizkę w ręku. Zatrzymałem się przed pociągami, idącymi przez Berlin do Warszawy, mającym odejść za 20 minut. Postawiłem walizkę w przedziale, a sam zacząłem spacerować, paląc papierosa i jakby czekając na odejście pociągu, co zresztą czyniło wiele osób.

Spacerowałem tak kilka minut, gdy uwagę moją zwróciło przybycie na peron młodego elegancko ubranego mężczyzny, w rękawiczkach, z laską, ale bez palt mimo dość silnego zimna i młodej kobiety w nieprzemakalnym, ściśle przylegającym palcie.

Brak palt u mężczyzny był dla mnie jakby przebiegiem prawdy, który wyjaśnił mi tajemnicę licznych kradzieży palt i walizek, mających miejsce 2 lub 3 razy tygodniowo.

— W rzeczywistości — pomyślałem — jeśli ten młody człowiek tak elegancko ubrany przychodzi mimo zimna bez palt, to możliwym jest, że czyni to dlatego, aby łatwiej włożyć czyjeś, nienależące do niego. Tak samo owa kobieta z łatwością może na swe nieprzemakalne palt włożyć jakieś futro, pozostawione w do-brze ogrzanych wagonach.

Mężczyzna, zamieniwszy kilka słów z kobietą, rozstał się z nią. Rozpoczął spacer wzdłuż pociągów, mijając się z kobietą i udając, że jej nie zna. Ja czyniłem to samo, ale nie spuszczałem zeń oka. Trwało to czas pewien, gdy nagle młody człowiek obojętnie i zupełnie naturalnie wszedł do wagonu, podczas gdy kobieta została na peronie, rzucając trwożne spojrzenia dokola.

Nieznamy przesył przez cały pociąg po korytarzach i gdy doszedł do ostatniego wagonu I-szej klasy, zobaczyłem jak wy-dostał z przedziału laskę z rączką zakrzywioną, wiszącą tam palt i walizkę.

Oto — złodzieje walizek.

Ciągle w korytarzu, przedko włożył na siebie palt, poczem z walizką w ręku, jak zwykły podróżny zszedł z wagonu i skierował się ku wyjściu. Tuż za nim szła kobieta. Na peronie wnie-szali się w tłum podróżnych, spieszących się też ku wyjściu, z innego pociągu, który dopiero co nadjechał. W kilka sekund znalazłem się jednocześnie z nimi przy wyjściu i kontroli biletów. Zaledwie oddali oboje bilety peronowe, gdy schwytełem prawą ręką za kołnierzy mężczyzny a lewą za rękę kobiety. Chwila zamieszania, próba oporu, ale mężczyzna zapłacił się w zbył długie na niego palt a kilku kolejarzy prztem obecnym, po krótkim wytłumaczeniu sytuacji pomogli mi zaprowadzić oboje do komisarjatu dworcowego, dokąd doszliśmy eskortowani przez tłum gapiów.

Oto złodzieje walizek — rzekłem wchodząc do inspektora, z którym wieczoraj rozmawiałem. — Widzi pan, że detektyw międzynarodowej policji przydał się jednak na coś. Inspektor uznał za najrozsądniejsze rozesłać się i uściśnić mi rękę, mówiąc — wieszuję.

Gdy obecny komisarz przyjrzał się schwytanemu, wybuchnął śmiechem a my z nim, gdyż nieborak miał niegdyś minę w skradzionym palcie, które prawie że włożyło się po ziemi i zajęło mu całkowicie ręce. W kieszeni znaleźliśmy rozmaite papiery na imię p. Goldermana, jubilera w Parýzu.

Przedko — rzekłem do posterunkowego w Komisarjacie — idź pan na peron do pociągu, jadącego do Warszawy, zawołaj p. Goldermana, objaśniając mu co zaszło i przyprowadź go tutaj. Dwie minuty nie przeszły, gdy p. Golderman wbiegł do komisarjatu, a zobaczywszy naszą parkę, krzyknął: — Mieliście szczęście hultaje, właśnie mam na przesyło 50 tysięcy franków biżuterji w walizce.

Komisarz spisał naprędce protokół, dał go do podpisania p. Goldermanowi, który pobiegł z swem odzyskanem paltem i walizką do odchodzącego pociągu.

Następnie przesłuchaliśmy złodziejską parę. Mężczyzna złapany na gorącym uczynku nie mógł się nie przyznać do kradzieży. Tłumaczył się jednak, że to pierwszy raz i że nie zna zupełnie kobiety, którą zatrzymałem razem z nim. Naturalnie ona również twierdziła, że go nie widziała. Wobec tego postanowiono przesłać ich każdego z osobna do Prefektury. Po krótkim czasie przyjechało auto więzienne, ale przy odprowadzeniu mężczyzny, któremu zaniebano założyć kajdanki nastąpiła krótka bójka. Wy-rwał się on prowadzącemu go inspektorowi, uderzając go pięścią w twarz.

(Dokończenie na str.13-ty).

U dołu: Zator taksówek przed dworcem Północnym.



OSTRZEŻAMY!

Lwów (od naszego korespondenta).

Kupiec lwowski Arnold Reiter, współwłaściciel pralni „Stella” przy ul. Marcina 15 otrzymał z Hiszpanji niezwykły list, pisany nieudolnie i naiwnie w języku niemieckim. List ten, odbity na szapirografie, rozestany został w kopjach również innym kupcom lwowskim, najprawdopodobniej według spisu jakiegoś skorowidza polskiego. Z treści listu niedwuznacznie wynika, że nadawcy chodzi o wyłudzenie pieniędzy i w tym celu opowiada jakieś fantastyczne historie o skarbach przechowywanych w tajemnicy przed okiem władz hiszpańskich. Kupcy lwowscy, którzy otrzymali listy identycznej treści — nie znają nazwiska autora i nadawcy, ani też nie zdradzają najmniejszego zamiaru zaangażowania się w jakimkolwiek kierunku w sprawie, która od pierwszego wejrzenia wygląda na oszustwo. Oryginał jednego takiego listu, nadesłanego z Walencji, przedłożono Wydziałowi Śledczemu we Lwowie, który wdrożył odpowiednie dochodzenia. Nie jest wykluczone, że policja odniesie się z tą sprawą do hiszpańskich władz bezpieczeństwa, gdyż nie ulega wątpliwości, że ma się do czynienia z oszustami. Być może, że rekrutują się oni z elementu tamtejszego, być jednak może, iż są to imigranci, znający kupców i stosunki w różnych miastach Polski.

Dla ostrzeżenia nieświadomych podstępów osób podajemy reprodukcję listu nadesłanego z Walencji wraz z przekładem treści niemieckiej „oferty”:

Szanowny Panie!

Jestem tu uwięziony, gdyż przedsiębiorstwo moje zbankrutowało. Zwracam się do Pana zapytaniem, czy zechce mi Pan pomóc przy uratowaniu 1,200,000 pesetów w banknotach, schowanych w walizce podróży.

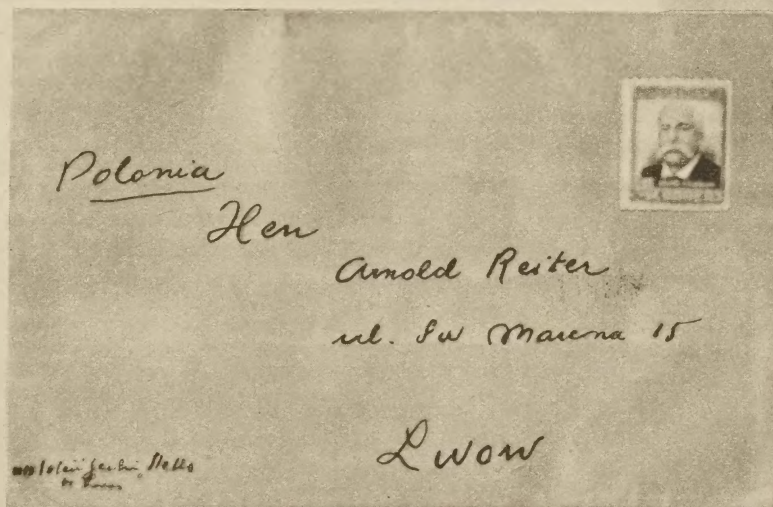
Różne okoliczności, które Pan później pozna, złożyły się na to, że mój kufer podróży znajduje się w przechowalni pewnego dworca francuskiego.

Byłoby pożądaną, by Pan tu przyjechał dla zapła-

cenia kosztów mojego procesu. W ten sposób uniknąłbym konfiskaty mojego bagażu. Równocześnie wręczyłbym Panu ręczną walizkę z tajną skrytką, w której się znajduje kwit bagażowy na schowaną walizkę. Kwit ten jest niezbędny przy podjęciu walizki. Jako honorarium dam Panu chętnie jedną trzecią całości kwoty. Nie mogę odpowiedzieć Pańskiej otrzymania wprost do więzienia, jeśli Pan się jednak zdecyduje sprawę zająć, proszę telegrafować do osoby zaufanej i wtajemniczanej. Odpowiedź Pańską na pewno otrzymam. Gdy otrzymam Pańską telegram, zdradzę Panu kim jestem i wyjawię Panu całą moją tajemnicę.

W oczekiwaniu kreślę się

S.



Gehörter Herr,
Ich bin hier gefangen, da ich Bankrott in meinem Geschäft gemacht habe und werde mich zu Ihnen um die Auszahlung ob mir helfen wollen die Pesetas 1.200.000 die ich in Banknoten in einem Reisekoffer bei mir habe.
Verschiedene Umstände, die Sie später kennen werden sind schuldig, dass jetzt mein Reisekoffer im Depot in einem französischen Bahnhof sich findet.
Dafür wäre es unbedingt notwendig dass Sie hierher kommen um den Kosten meiner Prozess zu bezahlen, und so würde die Handlung meines Gepäckes angelöst sein zum selben Zeit wie ich Ihnen ein Handkoffer mit einer geheimen Schlüssel geben wo ich den gepackten Reisekoffer verborgen habe der unentbehrlich ist um die gepackten Reisekoffer zu bekommen. Da Bezahlung werde ich Ihnen geben die Hälfte bei der Bezahlung geben. Ich kann direkt im Gefängnis hier leidet nicht erlauben aber wenn Sie bereit wären die Hälfte auszurufen, einen Telegraphen die sofort an einen von mir Vertrauten person und mit dieser Zeit werde ich Ihre Antwort empfangen. Sobald ich Ihr Telegramm bekomme werde ich mich an Ihnen kennen lassen und werde ich Ihnen mein ganzes Geheimnis mitteilen.
In Erwartung, unterzeichnet sich nur

Ich verschweigebest behalten.
dass mir nicht erlaubt darüber telegraphieren Sie können
Pascual Mira
Lista Coneos 415
Nules, Valencia (Spanische)
(Verstanden) = (nazwisko)

Odbitka listu skierowanego do Arnolda Reitera. — Na lewo: Koperta listu.

Proszę o zachowanie absolutnej tajemnicy. Proszę pamiętać, że do mnie pisać nie można. Proszę telegrafować pod adresem:

Pascual Mira, Lista Coneos 415
Nules, Valencia (Spanische)
„Verstanden“ = (nazwisko).

Należy się zatem mieć na baczności przed oszustami i o każdorazowym otrzymaniu podobnej przesyłki zawiadomić policję.

Zaznaczamy przytem, że nie jest to pierwsza próba wykorzystania naiwności, łatwowierności, no i... chciwości ludzkiej.

Sigma.

GOTOWE UBRANIA. Ubranie z dobrego kordu, najnowsze desenie od numeru 16 do 52 — 14 zł. Z czarnego lub granatowego bostonu 15 zł. Wysyłamy za pobraniem pocztowym. Jeżeli się nie podoba, zwracamy pieniądze. J. Szyfter, Łódź, Piotrkowska 28.

Z wdychaniem powietrzem
dostają się do jamy ustnej i gardzieliowej zarazki chorobotwórcze. Panflavin w pastylkach powstrzymuje rozwój bakterij i chroni tem samem przed grypą i zapaleniem gardła.

Do nabycia we wszystkich aptekach.

Panflavin
w PASTYLKACH

NAPAD NA BETHAUEROWĄ.

Przemyśl (od naszego koresp.).

Przemyśl pozostaje od szeregu dni pod wrażeniem krwawego napadu rabunkowego, dokonanego w samym sercu miasta...

W poniedziałek około godz. 9 wieczorem zawiadomiona została policja o znalezieniu przez dozorcę realności przy ul. Rejtana nr. 16, niejakiego Łabę, właścicieli tej kamienicy na podłodze w jej mieszkaniu w kałuży krwi. Natychmiast postawiono całą policję na nogi. W kilkanaście minut później zjawił się na miejscu zbrodni kierownik wydziału śledczego w asystencji całego sztabu wywiadowców.

Na podłodze leżała bez przytomności 88 lat licząca Laura Bethauer, matka adwokata. Całe mieszkanie było w wielkim nieładzie. Znać było, że przed chwilą jeszcze gospodarowali tu bandyci. Szafy z powylamywanymi zamkami, opróżnione z zawartości, na podłodze wały się części bielizny i ubrań, stołki były powywracane.

Przybyły na miejsce lekarz ocenił staruszkę, którą przewieziono do szpitala żydowskiego.

Na miejscu rozpoczęły urzędowanie władze śledcze. Stwierdzono przedewszystkiem, że około godziny 19 jacyś dwaj mężczyźni, jak to zeznała dozorczyń, dopytywali się o Bethauerową. Bethauerowa mimo podeszłego wieku mieszkała zupełnie sama, nie trzymając nawet w domu służącej. Usługiwała jej posługaczka, niejaką Klódkówna, która co wieczór, po podaniu swej chlebo-



Obok łóżka znaleziono staruszkę, leżącą bez przytomności. Na zdjęciu widoczne są ślady krwi. — U dołu na lewo: Dom Bethauerowej w Przemyślu przy ul. Rejtana 16. (xx) okna jej mieszkania. — U dołu: Bandyci przetrząsnęli całe mieszkanie, wyrzucając nawet w kuchni drobniarzi z szuflad.

jej w kuchni kawę na „primusie” i przyrządziła śledzia, przyniesionego z miasta. Następnie zdjęła jej z nóg buciki i jak co wieczór odeszła do domu. Staruszka udała się zaraz za posługaczką i zamknęła drzwi na klucz, a następnie zaryglowała. Posługaczka słyszała szereg zasuwanych rygli.

Jak przeto sprawcy dostali się do mieszkania staruszki, skoro zamki przy drzwiach były nienaruszone?

I wówczas wyloniła się koncepcja, jak się potem okazało słuszną, że sprawcy musieli znajdować się w mieszkaniu Bethauerowej już w chwili jej powrotu z miasta. Przeczekali oni, aż staruszka zostanie w mieszkaniu sama, by ją obrabować, a następnie po dokonaniu napadu zbiegli, otworzywszy sobie drzwi wejściowe kłódką w nich kluczem.

Kim byli sprawcy czynu?

O tem mógł coś powiedzieć jedyny świadek napadu, mianowicie sama ofiara, p. Bethauerowa. Ta jednak przez całą noc po napadzie bredziła w gorączce, wołając: „Bija, rabują, ratunku, policja, bandyci...”

Wreszcie jednak stan p. Bethauerowej poprawił się na tyle, że można ją było poddać przesłuchaniu. Staruszka podała, że kiedy po odejściu posługaczki weszła z kuchni do sypialni, by się położyć do łóżka, wyrosł nagle jakby z pod ziemi obok niej jacyś ludzie, którzy rzucili się na nią, powalili na ziemię, a następnie bili po głowie i brzuchu tak długo, aż straciła przytomność. Rysopisu bandytów staruszka nie umiała podać. Twierdziła jednak uprzeżywie, że napadu dokonali jacyś bandyci zapewne pozostający w porozumieniu z posługaczką Klódkówną i dozorczynią Łabową. Policja zatrzymała wobec tego obie te kobiety w areszcie aż do wyjaśnienia sprawy.

Rozpoczęły się dochodzenia, prowadzone w trybie dożywotnim. Przytrzymano szereg osób, podejrzanych o dokonanie napadu. Niektórzy z nich wykazali natychmiast swe alibi, co do pewnych ludzi podejrzenia okazały się mylne. W aresztach policyjnych pozostali tylko dwaj młodzi ludzie, którzy jednak stanowczo przeczyli winie. I kto wie, czy nie udałoby im się wykreść z tej całej sprawy, gdyby nie pewne dowody rzeczowe, znalezione przez funkcjonariuszy wydziału śledczego, a świadczące o udziale aresztowanych w napadzie.

Nazwiska obu sprawców trzymane są w chwili, kiedy to piszemy, w tajemnicy ze względu na dobro śledztwa. Spodziewamy się jednak, że w chwili, kiedy numer niniejszy znajdzie się w ręku naszych Czytelników, fotografie ich i nazwiska pojawią się już w „IKC” i „Tempie Dnia”. W przyszłym tygodniu zamieścimy o sprawie tej obszerny reportaż, opisujący dalszy przebieg sprawy.

L. T.



dawczyń kolacji, udawała się do domu do wsi podmiejskiej Wilcze. Wedle uzyskanych informacji, Bethauerowa była w poniedziałek wieczorem w mieście w towarzystwie posługaczki. Obie kobiety czyniły zakupy. Następnie udała się Bethauerowa do sklepu swego lokatora p. Raucha po czynsz za mieszkanie. Po zainkasowaniu sześćdziesięciu złotych, udała się do domu. Co się z nią dalej stało, w jaki sposób znalazła się bosa na podłodze sypialni swego mieszkania w kałuży krwi, z pogruchotaną podstawą czaszki, kto był sprawcą rabunku i w jakich okolicznościach go dokonano — oto pytania, przed którymi stanęły władze, prowadzące dochodzenia.

Rozwiązanie nie dało an się długo czekać. Oto aresztowano przedewszystkiem posługaczkę Klódkównę. Ona to



towarzyszyła swej pani w drodze do domu, ona powinna była, jak co wieczór, podać jej kolację; ona powinna była wiedzieć kto napadł jej panią. Przytrzymana natychmiast posługaczka podała, że tego wieczora jak zwykle, odprowadziła staruszkę do domu, że ugotowała

Pojedyncze numery naszego tygodnika sprzedawane są w całej Polsce, nie wyłączając księgarni kolejowych T-wa „RUCH”, w cenie uwidocznionej w nagłówku.

Wydawnictwo „T. Detektyw”.

Dajemy wam „złoto”!...



Wilno (od naszego korespondenta).

Każda dzielnica kraju ma swoje charakterystyczne typy, wytworzone regionalnymi warunkami życia. — Na kresach wschodnich takim typem jest „żulik”, człowiek bez określonego zajęcia, w spisach urzędowych figuruje jako bezrobotny, a pomimo to żyje o wiele lepiej od przeciętnego rzemieślnika czy też urzędnika XII kategorii. — „Żulik” nie jest ani bandytą, ani złodziejem, raczej można go nazwać oszustem i to nie w całym tego słowa znaczeniu. Cechuje go bowiem pewnego rodzaju „uczciwość”, która ujawnia się szczególnie przy wykonywaniu „zawodu”. Wyłudza pieniądze, czyni to z wielką nonszalancją i daje drugiej stronie możliwość zorientowania się w sytuacji i wycofania się w porę — ma to więc cechy hazardu. Zawód „żulika” jest niezmiernie skomplikowany a odznacza się sprytem, energią, inicjatywą i przebiegłością. — Właściwie cały proceder polega na wyzyskiwaniu ciemnoty ludu wiejskiego i mieszkańców przedmieść i wyludnianiu „dobrowolnie” wszystkiego, co się tylko da: ubrania, artykułów spożywczych, przedmiotów wartościowych i pieniędzy. Objeżdżają oni miasteczka i osiedla kresowe, rozbijając swoje namioty na rynkach, kiermaszach i jarmarkach. Wożą z sobą kramiki, gdzie sprzedają wszelkie cuda świata. Czego tam niema? „Brylanty”, „kamienie drogocne”, „perły”, „korale”, przeróżne „piersienice”, „naszyjniki królewskie”, „pasy słuckie” i t. d. i t. d. Słowem, co tylko dusza ludzka zapragnąć może. A wszystkie te skarby są niezmiernie tanie. Za jedne 50 groszy można nabyć cudowny „piersień z brylantami”, a za jednego złotego sznur „pereł” i t. d. Wielki wybór i niskie ceny jedyną wlehu nabywców.

Lecz to nie jest właściwym zawodem „żulika”, a tylko sprytnie pomyślanym parawanem, za którym uprawia się właściwy proceder. Jednocześnie bowiem w takim namiocie (najczęściej bywa to wóz obciążony z wierzchu płótnem) prowadzi się różne gry w karty, w „spodeczki czarodziejskie”, w „sznurki wileńskie”, „loterie amerykańskie”, „chińskie”, „japońskie” i Bóg wie jeszcze jakie. — Poza to mają wędrownie strzelnice.

Żulicy są popularni, chociaż bardzo niebezpieczni, a na świecicielka mają wyrobioną klientelę, rzecz oczywista, rekrutującą się wyłącznie z młodzieży wiejskiej. Pod tym względem spełniają oni obecnie rolę przedwojennych żydów wędrownych, t. zw. „kramarzy”, co chodzili od

Poniżej: ...Objeżdżają miasteczka i osiedla kresowe, rozbijając tam swoje kramiki, w których sprzedają rozmaite cuda świata...

Powyżej od lewej: Wincenty Petruszewicz i Władysław Szustowski. — Na prawo: „Loterja chińska”, główny magnes imprezy Petruszewicza.

wsi do wsi, sprzedając drobną galanterię i różne świecicielka. Żulików zna policja, lecz mało kiedy który z nich trafia za kratki, bo trudno jest im udowodnić przestępstwo. Na podkreślenie zasługuje jeszcze jeden charakterystyczny moment. Nie słyszało się o wypadku, by któryś z nich nie uregulował woźnicy rachunku.

Konkurencja.

Na terenie ziem północno-wschodnich najpopularniejszym takim „przedsiębiorcą” był Feliks Petruszewicz, zwany w żargonie złodziejskim „Ryży Wincuk”. Od szeregu lat objeżdżał on kresy z furą, naładowaną wszelkiego rodzaju świecicielkami i tanią garderobą. Głównym jednak magnesem, przyciągającym włościan do jego wozu, była „loteria chińska”, polegająca na celnym strzelaniu do tarczy z niezmiernie bliskiej odległości. Tarczę pokrywały numery w połowie puste i w połowie wygrywane. — Za trafienie z odległości paru metrów w numer t. zw. pełny można było wygrać i zegarek, i buty, i papierosy, i butelkę wina, lub temu podobny jakiś przedmiot, którego wartość faktyczna nie była niższą pięciu złotych. Oszustwo więc polegało tylko na tem, by strzelający nie mógł trafić w numer wygrywający. To łatwo dawało się zrobić przez obracanie tarczy w czasie strzału. — Rzecz oczywista, że od czasu do czasu ludzie wygrywali, co prawda były to wypadki rzadkie, lecz nie odosobnione. — Uprawiany przez Petruszewicza proceder przynosił mu niekiedy pokaźne zyski, zależnie od konjunktury, co pozwalało na prowadzenie dostatniego trybu życia. Znano go we wszystkich miasteczkach i wszędzie miał wyrobioną klientelę. Rok ubiegły był dlań okresem ciągłych powodzeń, a dochody w tym czasie stale wzrastały. To też wciąż rozszerzał zakres swego przedsiębiorstwa, wprowadzał coraz więcej nowych atrakcyj i jaknajobficiej zaopatrywał sklepik.

Wkrótce jednak nastąpił zmierzch jego panowania. Na firmamencie zabłysła nowa gwiazda w postaci niejakiego Władysława Szustowskiego, noszącego przezwisko „Bumbul”, młodego jeszcze i początkującego w tej branży, który wśród szumowin miejskich zdobył mir i uznanie dzięki niesłychanej odwadze i sprytnemu władaniu nożem, Bumbul, idąc w ślady Petruszewicza, zaopatrzył się w świecicielka i zaczął objeżdżać rynki, wożąc z sobą nową, całkiem na wsi nieznaną grę w t. zw. „szaryki”. Są to trzy naparstki jednakowej wielkości i „kulka” wielkości ziarenka grochu zwana „szarykiem”. Kulka znajduje się pod jednym z naparstków, który odkrywa się i okazuje zebranym, iż szaryk znajduje się pod nim. To uczyniwszy zakrywa się go z powrotem, a naparstki przesuwają się, jakby

mieszając je. Po uczynieniu tego zwraca się do zebranych, pytając pod którym z nich jest szaryk. Jednocześnie kładzie obok zł, które Bumbul wypłaca każdemu, kto odgadnie pod którym z naparstków znajduje się kulka. Rzecz oczywista, że nigdy i nikt nie mógł odgadnąć, ponieważ kulki nie było pod żadnym z naparstków, a znajdowała się ona u niego w ręku. Później zaś sprytnie wsuwał ją pod inny naparstek i okazywał zebranym, iż był — tylko nie zdołano odgadnąć pod którym.

As treff.

Nowa gra i obfity wybór towarów, który był sprzedawany po cenach naprawdę bardzo niskich, ściągnęły do wozu „Bumbula” całą niemal klientelę Petruszewicza. — Dotknęło to strasznie dotychczasowego króla i władcy „Żulików”. Zaczął przeto zwalczać konkurenta, gdy



jednak przegrał w walce konkurencyjnej — wyzwiał Bumbula na pojedynek w trzy karty.

W początkach bieżącego miesiąca zeszli się obaj w mieszkaniu Petruszewicza przy ulicy Prostej Nr. 17. Gospodarz przyjął nowego wroga z najdalej posuniętą kurtuazją. Wydał bowiem na cześć Bumbula ucztę, na którą zaprosił co grubsze ryby wileńskiego świata przestępczego i sprowadzić kazał aż 12 litrów wódki. Była to wielka libacja, po której wszyscy uczestnicy jej dobrze mieli w czubach. W końcu wieczery wyrzucono karty. — As treff padł dla Petruszewicza, co oznaczało, iż przegrał pojedynek, gdyż przeciwnik może w czasie walki używać noża, on zaś musi bronić się tylko pięściami. Bumbul, chcąc widocznie być wspaniałomyślnym, nie przyjął pojedyunku pomimo pewnej wygranej, a zaproponował zgodę. Pogodzili się i przypieczętowali to pocałunkiem oraz kilku nowymi butelkami wódki.

Było już późno w nocy, gdy Bumbul zbierał się do domu. Wówczas przystąpił do niego Petruszewicz i oświadczył, iż go przeprowadzi. Ten na to przystał. Wkrótce wyszli z mieszkania i zniknęli w mrokach nocy.

Krzyk wśród nocy.

Dawno już minęła północ. Na ulicy Zgoda panowała nieczem niezmięcona cisza. Od czasu do czasu tylko rozlegały się kroki jakiegoś zapóźnionego przechodnia, który śpiesznie pomykał do domu. — W pewnej chwili ciszę tę rozdarł przeraźliwy krzyk, po którym rozległo się szamotanie i odgłos upadku ciała. Na chodniku zadudniły przyspieszone kroki, którym wtórowały przekleństwa i jęki, połączone z dziwnym charczeniem. Gdy mieszkańcy ulicy Zgoda i Pokój wybiegli, by zobaczyć co się stało, zauważyli na środku jezdni leżącego w kałuży ciepłej jeszcze krwi Petruszewicza. Przeniesiono go niezwłocznie do jednego z domów, dokąd zawezwano pogotowie ratunkowe i policję. Lekarz przybyłego pogotowia udzielił ranemu pierwszej pomocy i chciał go przewieźć do szpitala. W tym jednak momencie nastąpił zgon. Przed śmiercią Petruszewicz zdołał tylko powiedzieć: „A to mnie zgadnął” — co w żargonie oznacza: trafiłem na swego, który mnie pokonał (zgadnął = pokonał).

Powiadomiona o wypadku policja wszczęła natychmiastowe dochodzenie. Też jeszcze nocy zdołano ustalić, kto był zabójcą i aresztować go. Petruszewicza zamordował „Bumbul”, który tylko pozornie z nim się pogodził, by przy najbliższej okazji załatwić ostateczny porachunek. Gdy wyszli z domu, Bumbul, wyszukując spóźnioną porę, kiedy na ulicy prawie nie było przechodniów, rzucił się nagle na Petruszewicza, złapał go jedną ręką za kłapy płaszcza, a drugą uderzył w twarz. Cios był silny i zwałił uderzonego z nóg. Petruszewicz jednak szybko poderwał się z ziemi i wyciągnawszy błyskawicznie nóż z kieszeni rzucił się w kierunku Bumbula. U tego również zabłysnął nóż. Rozpoczęła się walka. Niektrwała ona jednak długo. Bumbul bowiem, będąc młodszym i sprytniejszym, kopnięciem nogi wytrącił przeciwnikowi nóż z ręki i gdy ten schylił się, by go podnieść — dopadł z tyłu i zadał cios w plecy. Petruszewicz upadł i kilkakrotnie wzywał pomocy.

Bumbula aresztowano nad ranem w jednej z melin złodziejskich. Został on osadzony w więzieniu łukiskim, gdzie oczekuje na zakończenie śledztwa i rozprawę sądową. Należy nadmienić, że policja wileńska prowadząca obecnie energiczną walkę z „żulikami”, urządzając na nich na każdym prawie rynku obławę. Większość już aresztowano i osadzono w więzieniu.

Emces.

Poznań

(od naszego korespondenta).

Gdzie jest testament kupca śp. Lucjana Wojciechowskiego? — Oto pytanie, nad którym trzaskają się poznańskie władze prokuratorskie. Nie ulega wątpliwości, że testament został spisany, są na to dowody, ale gdzie podział się po śmierci spadkodawcy — trudno ustalić. Prostu zginął ze schowka jednego z banków poznańskich.

Sprawa jest dość dawna. Znalazła się obecnie w rękach ludzi, których energia i wytrwałość w tropieniu przestępstwa jest rękojmią, że wreszcie znajdzie się sprawca. Testament mógł już zniszczyć, sprawca jednak nie ujdzie kary.

W połowie 1932 r. zmarł w Poznaniu kupiec Lucjan Wojciechowski, właściciel sklepu żelaza przy ul. Dąbrowskiego 54. Majątek, jaki on pozostawił, ocenia się na 200 tys. zł., a więc majątek pokaźny. Na sumę tę składały się: wartość sklepu z żelazem, gotówka, walory państwowe i biżuteria. Gotówka, papiery wartościowe i biżuteria złożone były w schowku jednego z banków.

Śp. Lucjan Wojciechowski ostatnie lata swego życia cięci chorował na serce. Stan jego był przez długi czas groźny, albowiem choroba była tak zaawansowana, że katastrofa nadejść mogła lada dzień. Śp. Wojciechowski, jako przezorny kupiec, spisał testament jeszcze za życia. Kogo uczynił spadkobiercą, pozostanie tajemnicą zabraną przez Wojciechowskiego do grobu. Zna ją niewątpliwie jeszcze jedna osoba, ale ta jest, jak dotąd przynajmniej, nieznana. Z treści testamentu wiadomo tylko, że były tam różne legaty na rzecz instytucji kościelnych i dobroczynnych.

Reflektanci spadkowi.

Zmarły był kawalerem. Z bliskich sobie osób miał tylko brata, Władysława Wojciechowskiego, właściciela drogerii przy ul. Marcina 46, siostrę zamężną Gawrychową, zamieszkałą ostatnio w Gnieźnie i przyjaciela Kaczmarskiego, piekarnia z zawodu. Ostatni był pupilkiem zmarłego, jego towarzyszem i pomocnikiem w prowadzeniu interesów. Z wdzięczności za przywiązanie, Wojciechowski za życia urządził Kaczmarskiemu piekarnię przy ul. Marszałka Focha. W ostatnich dniach Wojciechowskiego, kiedy niemocą złożony leżał pod czułą opieką swej bratowej Władysławy, Kaczmarek prowadził sklep Wojciechowskiego przy ul. Dąbrowskiego samodzielnie.

W czasie choroby Kaczmarek, czuły przyjaciel, za którego uchronił, podczas jednej z roz-

owo zezwolenie, niewiadomo, narazie było to zupełnie bezprzedmiotowe, albowiem ani Wojciechowski ani Kaczmarek niezego ze schowka nie potrzebowali.

Biżuterja i testament znikają.

Wkrótce Lucjan zmarł. Brat Władysław i jego żona zajęli przygotowaniami do pogrzebu i związaniem z tem formalnościami, o schowek, jak i o kierowany przez Kaczmarską skład przy ul. Dąbrowskiego nie dbali. Kiedy już mijał dzień pogrzebu i stosunki w domu Władysławowskich Wojciechowskich wróciły do normalnego trybu — postanowiono przeprowadzić otwarcie testamentu. Zwrócono się z tem do notariusza, a równocześnie Władysława udala się do banku w celu zbadania zawartości schowka. Jakież było jej zdumienie, gdy nie znalazła w nim ani testamentu, ani biżuterji, nie będącej, jak się zarazem okazało, własnością zmarłego, tylko zastawem za pożyczkę kilku tysięcy zł., w dodatku udzieloną niewiadomo komu. Zażądała więc wyjaśnień od personelu bankowego, który zdumionej kobiecie oświadczył, iż na drugi dzień po pogrzebie zawartość schowka badał Kaczmarski, który legitymował się zezwoleniem na wgląd do schowka podpisanem przez ś. p. Lucjana. Posłano więc po Kaczmarską na ul. Dąbrowskiego, ale tam

się okazało, że sklep z żelazem po zmarłym prowadzą już teraz Gawrychowie.

Nie wszystko zatem było w porządku. Kaczmarek, który z polecenia zmarłego prowadził jego sklep, nie powinien był ustępować i to w dodatku ludziom, których zmarły nienawidził. Wyłoniła się hipoteza, że Kaczmarek usuwając testament, bo tylko on mógł to uczynić, działał w porozumieniu z Gawrychami nie bez materialnej korzyści dla siebie. Ale co się stało z biżuterją? Może ona była właśnie tą korzyścią za usunięcie testamentu. On — biżuterję, Gawrychowie — sklep. Być może, że Kaczmarek, który mógł znać osobę, jaka pod zastaw biżuterji wzięła pożyczkę, porozumiewał się z nią i za odpowiednim odszkodowaniem oddał zastaw.

Zarówno Kaczmarek jak i Gawrychowie wypierają się jakiegokolwiek udziału w tej sprawie.

Wojciechowscy przekazali sprawę właściwym władzom.

Z polecenia sędziego śledczego przeprowadzono rewizję w sklepie prowadzonym przez Gawrychów. Znalezione moc materiału obciążającego, przyczem stwierdzono, że Gawrychowie w sklepie prowadzili rabunkową gospodarkę, tak jakby w najszybszym czasie chcieli się pozbyć towaru. W konsekwencji zebranego w śledztwie materiału były 3 nakazy aresztowania. Opiewały one na nazwiska Gawrychów, męża i żony, oraz na Kaczmarską.

Wreszcie sędzia polecił sklep Wojciechowskiego zamknąć. Osadzeni w areszcie wniesli zażalenie przeciwko decyzji sędziego śledczego, ale zostało ono odrzucone. Na drzwiach sklepu przy ul. Dąbrowskiego wywieszono tylko skromną karteczkę:

TESTAMENT



mów napomknął o testamentcie, zapytując niby żartem, ile też jemu przypadnie w udziale z pozostawionego majątku. Na żart swój otrzymał odpowiedź serji: „Ty nie nie dostaniesz, bo już masz za moje pieniądze piekarnię”. Odpowiedź ta zbiła Kaczmarską z tropu, ale nie tracił nadziei.

Zamężna siostra Wojciechowskiego żyła ze swym mężem Gawrychem w Gnieźnie. Wojciechowski z siostrą swą nie utrzymywał żadnych stosunków przyjacielskich. Człowiek pracowity i oszczędny, podobnie jak jego brat Władysław, nie mógł pogodzić się z lekkomyślnym trybem życia, jaki prowadzili Gawrychowie. Mawiał stale, że pieniędzy jego, zbieranych przez

całe życie uczciwą pracą, nie mogą otrzypać ludzkie marnotrawni. — Tak więc ze szczupłego koła swych bliskich śp. Lucjan Wojciechowski wykreślił ze spadkobrania siostrę i przyjaciela. Pozostał brat Władysław i jego żona, którzy całe życie dzielili ze zmarłym, a ostatnie dni ciężko chorego osłabiali najczulszą opieką. Oni też, według powszechnej opinji, byli dziedzicami fortuny Lucjana.

Testament, jak już wspomnieliśmy, złożony był w schowku. Był on tam jeszcze, kiedy na polecenie Lucjana, żona Władysława była w banku i schowek przeglądała. Na krótko przed śmiercią Lucjan na podszept Kaczmarską wystawił mu zezwolenie na wgląd do schowka. Później potrzebne była Kaczmarskiemu

Powyżej od lewej: Piekarnia „Polanka” w Poznaniu, własność Kaczmarska, urządzona przez Lucjana Wojciechowskiego. — Skład żelaza Wojciechowskiego w Poznaniu przy ul. Dąbrowskiego 54. Fot. „Tajny Detektyw”.

„Z powodu inwentarza zamknięte”.

Sprawa ta obudziła duże zainteresowanie miejscowe, rodzina Wojciechowskiego była znana, a nadto sam problem zresztą odwieczny ludzkiej ciekawości, nie liczącej się z niczem, nawet ze śmiercią bliskiego człowieka i jego wolą sprawił, że wszyscy śledzą z zaciekawieniem rozwój wypadków.

Sprawa „operacyj”, mających na celu zatajenie ostatniej woli zmarłego przez zniszczenie lub ukrycie jego testamentu, nie jest obcą wielkiemu działowi prawa cywilnego, mianowicie prawu spadkowemu. Łączy się ona z podobną kwestją fałszowania ostatniej woli. Prawodawstwa nowoczesnych czasów, szanując jednostkę jako wyłącznie uprawnioną do decydowania o swoim dorobku życiowym i odziedziczonym majątku, zapewniają jej daleko idącą swobodę w rozporządzaniu mieniem. Wolę spadkodawcy stawia na pierwszym miejscu jako tę, która w granicach dobrych obyczajów i możliwości ma zdecydować, co ma się stać z majątkiem pozostałym. Dopiero w drugim rzędzie, w wypadku, gdy niema testamentu, powołuje ustawa dzieci, tj. krewnych, połączonych ze zmarłym najbliższym węzłem.

Si.

Przygoda detektywa Charlamba.

(Dokończenie ze str. 9-cj).

Po półgodzinie mieliśmy dokładne informacje z wydziału tożsamości. Mężczyzna nazywał się Paweł Feretti, lat 28, narodowości włoskiej, skazany już wielokrotnie za kradzież, oszustwa, bez prawa pobytu we Francji.

Kobieta z pochodzenia Rosjanka bez żadnych papierów, podająca się za Marię Kuniec, lat 22, dotychczas nigdy niekarana, przyznała się do kradzieży i znajomości z Ferettim. Jasną teraz rzeczą było, że stary Hirsz skupował od nich skradzione rzeczy.

Trzeba się było jednak dowiedzieć jeszcze prawdy o śmierci Hirsza.

Dwóch inspektorów przysłanych na dworzec z Prefektury weszło do celi Ferettiego. Jednego z nich Feretti kopnął w czasie drogi do Prefektury.

— Powiedz o wszystkim, jak zabiłeś Hirsza.

— Nie mogę się przyznać do tego, czego nie uczyniłem — zaprotestował Feretti.

— To masz próbkę tego, co ci czeka — rzekł jeden z agentów uderzając go pięścią w plecy.

Wtedy Feretti zaczął krzyczeć: Ratunku!

— Przyznaj się... przyznaj się. Wiemy, do czegoś zdolny!... Wkońcu zmęczyli się i wyszli, oświadczaając: Namysł się. Wrócimy niedługo. W istocie po pewnym czasie wrócili.

Widząc, że go nie zostawia w spokoju, Paweł Feretti wyszeptał:

— Tak, to ja zabiłem Hirsza.

Gdy dowiedziałem się o brutalnym traktowaniu więźnia, oburzyłem się, a wówczas odpowiedziano mi, że w istocie trochę go poszarpano, ale że taki jegomość jak on, widział inne rzeczy, że to jest bardzo rzadkie, że inaczej by się nigdy nie przyznał, wkońcu żebym nie zapominał o inspektorze, który stracił oko od uderzenia Włocha.

Teraz sprawa okazała się dosyć prostą. Cała banda składała się z Ferettiego, Marii Kuniec, Stanisława Jaworzyńskiego i Hirsza, który skupował skradzione rzeczy. W sobotę popołudniu St. Jaworzyński, który był pośrednikiem między Hirszem a Ferettim, otrzymał od Hirsza za swe usługi 1.000 franków, które ostatni wziął kilka godzin temu z oddziału kredytu lyońskiego, rozstali się w najlepszej.

W niedzielę wieczorem Feretti przyszedł do Hirsza i zażądał trochę pieniędzy jako awans za rzeczy, jakie mu przyniesie. Hirsz odmówił. Feretti zaczął grozić. — Wreszcie Hirsz zdecydował się dać mu 100 franków, w tym celu otworzył kasę. Na widok pieniędzy w niej ukrytych, Feretti zaczął nalegać, aby Hirsz dał mu więcej, niż 100 franków, groząc mu, że jeśli nie da, to sam sobie weźmie. Widząc to stary, złapał za rewolwer, jaki miał zawsze pod ręką. Feretti myśląc, że Hirsz wystrzeli, chwycił za rewolwer, wyrwał go i uderzył nim kilkakrotnie Hirsza w głowę.

Widząc, że Hirsz nie żyje, zabrał pieniądze z kasy (znaleziono u niego w pokoju hotelowym jeszcze przeszło 2.000 franków z oznaczeniami numerami) i przestraszony swym czynem uciekł.

Odcisk palców St. Jaworzyńskiego na biurku Hirsza był zupełnie naturalnym. Gdy Hirsz dał mu 1.000 fr., oparł się na biurku. Nie chciał zaś powiedzieć, gdzie spędził noc z niedzieli na poniedziałek, bo nie chciał zdradzić Marii Kuniec, u której przebywał.

Stanisław Jaworzyński skazany zostanie prawdopodobnie na zamknięcie w domu poprawczym aż do uzyskania pełnoletności, Marija Kuniec na kilka miesięcy więzienia, Feretti zaś w najlepszym razie na dożywotnie ciężkie roboty pod pałacym słońcem Gujany.

R. E. R. Charlamb.

OPIUM.

Tezew (od naszego korespondenta).

Nietylko w przebojach modnych występuje to upajające słowo — opium. Także kroniki sądowe gloszą o walkach policji i władz śledczych z przemytnikami, którzy wprowadzają nielegalnie do Polski oszałamiający i drogi ten narkotyk.



Od lewej: Kom. Straży Gran. Palonek, inspektor Straży Gran. Okólski, nadkom. Straży Gran. Leśkiewicz.

Inspektorat Straży Granicznej w Tezewie, a mianowicie inspektor Okólski i komisarz Palonek na wieść o pojawieniu się przed rokiem w tajnym handlu niewielkiej ilości opium, rozpoczęli baczna inwigilację nad podejrzanyymi. Uwagę władz zwróciła szczególnie niejaka Władysława Stanuchowska vel Stanisławska, notoryczna przemytniczka, która trudniła się także handlem lekarstw dla zwierząt i pokątnym leczeniem ludzi i rzekomo celem uśmierzania bólów sprzedawała chorem niewielkie ilości



Bolesław Klein.



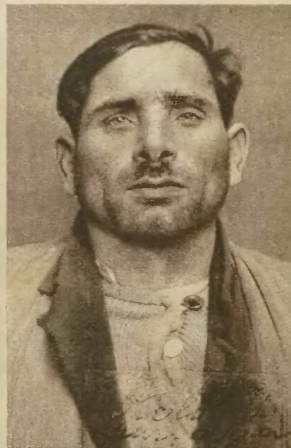
Władysława Stanuchowska vel Stanisławska.

opium. Stanuchowska, jak się okazało, utrzymywała stały kontakt z bezrobotnym szoferem Bolesławem Kleinem w Starogardzie. Klein z 43-letnim Bolesławem Ossowskim ze Starogardu wyjeżdżali często do Gdańska, gdzie w dzielnicy portowej stykali się, celem nabywania opium, z marynarzami greckimi i szwedzkimi. Z końcem grudnia z. r. Klein z 52-letnim piekarzem Janem Węglikowskim zakupili w Grudziądzu od nieznanego osobnika pół kilo opium za 3.000 złotych (2 kulki wielkości pięści owinięte w liście tytoniowe), poczem wrócili do Starogardu. Wtedy wywiadowca Kozłowski ucharakteryzowany na brodatego żyda, udał się do piekarsza Węglikowskiego i zaproponował mu kupno opium dla znajomego swego narkomana. W czasie podróży obydwóch do Tezewa, gdzie interes miał być zrealizowany, Węglikowski wraz z zapasem opium został przytrzymany. Ostatecznie zlikwidowano całą szajkę w osobach Kleina, Stanuchowskiej, rolnika Machutty z Mysinek i Bolesława Ossowskiego, których osadzono w areszcie w Tezewie. And.

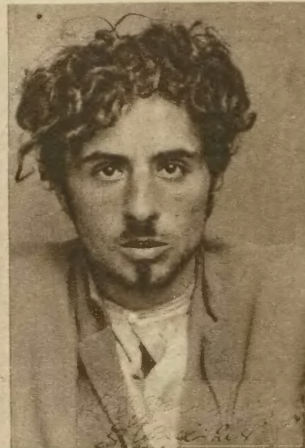
KTO ICH ZNA?

Niema prawie miejscowości w Polsce, dokądby od czasu do czasu nie przywędrowała jakaś banda cygańska. Zwyczajnie rozbijają namiot za miastem, trudnią się naprawą naczyń, głównie jednak żyją z kradzieży.

Ostatnio przez dłuższy czas ginęły konie, przeważnie w nocy wykradane ze stajen. Kradzione konie znikały, jakby pod ziemię się zapadały. Robiono zasadzki, obławę, lecz bezskutecznie. Ostatnio po żmudnych dochodzeniach ustalono, że cyganie w przysiółku Rówienka ad Kuźniałuka, pow. dolińskiego urządzili sobie szalas w niedostępnym lesie. Tam mieściła się kryjówka koni.



Andrzej Klompar.



Stanisław Horniak.

skąd po odpowiednim „sfabrykowaniu” do niepoznania, szły w świat.

Wydział śledczy w Stryju przytrzymał Andrzeja Klompara oraz Stanisława Horniaka, jako członków bandy. Zachodzi podejrzenie, że przytrzymany Horniak nazywa się Andrzej, a nie Stanisław — jak zapodał — zaś Klompar w rzeczywistości nazywa się Jan Klimper, alias Siwa Borna.

Poszkodowani powinni zgłosić swe szkody. Czytelnicy „Detektywa” proszeni są, o ile prawdziwe imiona i nazwiska Klompara i Horniaka są im znane, by zgłosili wiadomości wydziałowi śledczemu w Stryju, lub najbliższemu posterunkowi P. P.

SPRAWA KOZAKOWEJ.

Od Jana Kozaka, ucznia V. Kursu Sem. Naucz. w Sokalu, otrzymaliśmy bardzo ciekawe informacje, dotyczące pożycia Aleksandra i Albiny Kozaków oraz podłoża wypadku w ich mieszkaniu, którego wynikiem była śmierć Aleksandra Kozaka. O sprawie tej donosił obszernie Nr. 3. „Tajnego Detektywa”. Oddajemy głos Janowi Kozakowi:

Jako syn mam najlepsze wiadomości o tragedji, jaka odgrywała się od szeregu lat w naszej rodzinie między moją matką a moim śp. ojcem. Z ciężkim sercem przychodzi mi mówić o tych rzeczach tembardziej, że obojga moich rodziców kochałem, a widząc krzywdy wyrządzane przez ojca mojej matce całą duszą musiałem być zawsze po jej stronie. Ojciec mój, niestety, pod wpływem złych przyjaciół od najdawniejszych czasów ulegał nałogowi karcjarstwa i alkoholu, tak, że z pieniędzy, otrzymywanych w charakterze urzędnika sądowego w Lubaczowie, przeważna część przechodziła w ręce towarzyszy karcjanych czy też szynkarzy; do domu przynosił ojciec często tylko po kilka-naście złotych, czasem z pensji

nie dawał matce ani grosza,

a gdy z tego powodu matka robiła ojcu wyrzuty, płakała i zaklinała, aby pamiętał o synu tj. o mnie i o potrzebach domowych, ojciec wpadał w szal i bił matkę bez pamięci, wyzywał ostatnimi wyrazami, nie zważając nawet często na obecność obcych ludzi. Nieprawdą jest, by ojciec mój leżał na moją edukację, gdyż fakt, że uczęszczałem do Seminarjum mam do zawdzięczenia jedynie matce, która łożyła na moją naukę ze swych skromnych i ciężko zapracowanych dochodów. Matka moja przechodziła prawdziwą gehennę przez cały czas swego pożycia małżeńskiego, przed ludźmi starała się ukryć swój nieszczęśliwy los, a nawet kilkakrotnie usiłowała popełnić samobójstwo, aby swe męki ukrócić. Ponieważ to, co ojciec od czasu do czasu dawał na utrzymanie domu, nie wystarczało nawet na niezbędne życie, starała się matka o konieczne środki do życia przez przyjmowanie na wikt miejscowych urzędników-kawalerów; matka czyniła to za zgodą ojca. Stołownicy jednak widząc częste nieporozumienia między rodzicami, odstręczali się tem tak, że wkońcu pozostało ich tylko kilku. W listopadzie zeszłego roku podszepnięto memu ś. p. ojcu, że jeden ze stołowników nie dla wikt przy-

chodzi do naszego domu, lecz dla mojej matki, wobec czego ś. p. ojciec mój zażądał od matki usunięcia tego stołownika. Matka przedstawiała ojcu, że są to plotki, że ów stołownik przychodził przecież w porach obiadowych razem z innymi panami, że gdyby jego jako stołownika pozbyłaby się, pozostałoby tylko trzech panów, dla których nie opłacałoby się wydawać obiadów i sprawa pozostała po dawnemu.

W dniu 1 grudnia nie oddał ojciec matce znowu ani grosza ze swoich poborów, a gdy matka błagała, aby nie kazał jej ginąć z głodu, pobił ją znowu po twarzy i głowie tak, że miała całą twarz zasiniałą. Od tego dnia ojciec przychodził codziennie do domu późno wieczorem i za każdym razem ściągał matkę z łóżka, bił i znęcał się nad nią do późna w nocy, odgrajając się,

że ją zabije, że „jej da kochanka”.

Nic nie pomagały tłumaczenia się matki, że żadnego kochanka nie ma i że stołowników dla braku środków do życia oddalić nie może. Tak samo było w wieczór poprzedzający krytyczny dzień, gdy ś. p. ojciec przyszedł do domu późno w stanie mocno podnieconym pod wpływem alkoholu, a może większej przegranej, gdyż ojciec grał w karty b. często. Po ciężkich przejściach tego wieczoru rano dnia następnego około godziny 7-mej wstała matka jak zwykle, aby zbudzić ojca do biura i przygotować mu na maszynce spirytusowej śniadanie. W tym celu postawiła matka na stole flaszkę ze spirytusem, maszynkę i garnek i poczęła budzić ojca. Ojciec wstawszy, zamiast ubierać się jak zwykle, począł wyzywać mą matkę karczemnymi wyrazami, a wkońcu znów uderzył ją w twarz.

Matka,

doprowadzona do rozpacz,

schwyła stojący na stole garnek z solą i uderzyła ojca w głowę. — Możliwe, że przytem nieco soli zaproszyło ojcu oczy. — Nieprawdą jest jednak by matka ojcu, leżącemu w łóżku, czy też nawet śpiącemu oczy solą zasypała. — Ojciec po uderzeniu go przez matkę, wściekły, rzucił się na nią, a wtedy matka obawiając się o swe życie (gdyż ojciec w pasji bił bez pamięci i bez miłosierdzia matkę, gdzie dopadł), schwyła stojącą na stole flaszkę ze spirytusem i chlusiła ojcu znajdującym się we flasce płynem w twarz, aby go od dalszego bicia powstrzymać. W tej samej chwili wylany spirytus zapalił się na bieleźnie ojca. — Czy zapalił się on od maszynki spirytusowej, czy zapaliła go matka czy też sam ojciec, tego nie mogę ustalić.

Matka natychmiast starała się płomień ugasić, ojciec jednak wybiegł na dwór co jeszcze pogorszyło sprawę. Przez rzućnięcie się na śnieg, płomień na bieleźnie został ugaszony, a ojca odwieziono natychmiast do szpitala gdzie następnego dnia zmarł wskutek poparzenia. — Nieprawdą jest, jakoby matkę moją wskutek wypadku chciano w Lubaczowie zlynczować, przeciwnie cała opinia publiczna jest po stronie mojej matki, gdyż znano ją jako osobę nieszcześliwą w pożyciu z mym śp. ojcem, całe miasto wiedziało o jej losie niedopozazdrosczenia, o tem jak borykała się ona z losem, aby zapewnić życie sobie i mnie jako jedynemu synowi.

Jan Kozak.

Tyle list Jana Kozaka.

Charakter i tryb życia ś. p. Aleksandra Kozaka starając się określić także listy, które otrzymała matka ś. p. Kozaka Matylda Kozakowa od dwóch adwokatów, u których przed wstąpieniem do służby państwowej ś. p. Kozak pełnił obowiązki solicytatora.

Osoby te zaświadczały, że w czasie zajęcia swego ś. p. Kozak zachowywał się bez zarzutu i nie jest im wiadomym, by w tym czasie oddawał się jakimś namiętnościom. Jeden z listów podnosi, że o charakterze zmarłego świadczy fakt, iż umierając wśród strasznych boleści, nie chciał swojemi zeznaniami obciążać żony.

Również ze sfer sądowych otrzymała matka ś. p. Kozaka pismo, uznające syna jej za zdolnego pracownika, czynnego i uprzejmego dla wszystkich, wskutek czego cieszył się uznaniem przełożonych, kolegów i stron.

Prywatnego życia zmarłego w tem piśmie autor tegoż nie porusza, a przynajmniej nie podaje, że go nie zna dokładnie. Zdaniem autora pisma pracowitość i punktualność w biurze ś. p. zmarłego nie wskazywały na to, aby mógł noce przepędzać na pijaństwie lub grze w karty. W każdym razie autor tego listu, pochodzący z pośród urzędujących sędziów, uważa stosunki rodzinne zmarłego za nieszcześliwe; nie wiadomo jednak z czyjej winy. Autor listu dwukrotnie starał się małżonków pogodzić i stąd nabral przekonania, że winą była po stronie obojga. Dla syna był dobrym ojcem.

Zamieszczamy tedy głosy kilku stron odnoszące się do sprawy Kozaków.

Niewątpliwie zaś dochodzenia i rozprawa karna wyświetliły istotne przyczyny zajścia, oraz ustaliły, czy Albina Kozakowa winna jest śmierci swego męża. (RED.)

MORDERSTWO W POKOJU Nr. 700.

**POWIEŚĆ KRYMINALNA
NAPISAŁ H. BRADLEY.**

**AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
HELENY HELLERÓWNY.**

171

— Nie domyśla się pan zupełnie, kto to mógł być?

— Nie, sir.

— A poza tem nie zaszło nic szczególnego?

— Nie, sir, nie szczególnego. Chyba to jedno, że pan Darrow nie urządził już od dłuższego czasu wieczorów dla panów... lecz to pan... prokurator sam wie.

— Tak, od czasu jak pokochał Wirginję Channing — pomyślał Ryder.

Ktoś zadzwonił.

— Acha — zauważył Derwish, wychodząc — to z pewnością znowu ta „osoba“.

Ryder poszedł wolno za nim i usłyszał gruby głos Ryana, który zapewniał kogoś, że szef jest teraz obecny i można z nim mówić.

VI.

Było to przedwczesne zapewnienie, gdyż Ryder nie miał narazie najmniejszej ochoty wdać się z jakąś histeryczną kokotą w rozmowę o teatrze, rolach i o strasznej śmierci „naszego genialnego mistrza“. Przeszedł powoli przez jadalnię, wspomniawszy przez chwilę z żalem liczne, piękne przyjęcia, na których tu bywał, poczem przeszedł do sypialni przyjaciela.

Duży pokój był czysty i posprzątnany. Derwish, rozpaczliwie walczący z wrodzoną niedbałością Darrowa, dotychczas zawsze okazywał się zwycięzcą. Przedewszystkiem rzuciło się w oczy wspiane łóżko w stylu hiszpańskiego odrodzenia, wobec którego schodził zupełnie na drugi plan wenecki fotel i przepiękna wenecka skrzynia z wieloma srebrnymi przedmiotami toaletowymi.

Ryder przypomniał sobie mimowoli tę drugą, niemiło obcą sypialnię, w której rano zastał Fil'a Darrow'a.

Wszystko wydawało się jeszcze niewiarygodne. Policjant, który zjawił się pierwszy na miejscu czynu, znalazł jakiś jego list w kieszeni Fil'a, zapomniał raz o wszelkich przepisach urzędowych i zaraz go zawiadomił. On zaś przyszedł, stwierdził tożsamość zmarłego i zadzwonił do prokuratora. Nie chciało się wprost wierzyć, że Fil nie będzie nigdy więcej mieszkał w tym pokoju.

Na ścianach wisiały niezliczone fotografie. Były to przeważnie podobizny aktorek. Na nocnym stoliku stały tylko dwie fotografie. Jedna, w srebrnej ramie przedstawiała młodą dziewczynę w hiszpańskim kostjumie, piękne stworzenie o dziwnym, egzotycznym uroku. Ryder był przez chwilę zakłopotany. Miał wrażenie, że zna już skądś tę twarz...

Najpierw zdawało mu się, że to któraś z aktorek, lecz potem przypomniał sobie nagle, że przecie dopiero kilka godzin temu patrzył w te ciemne oczy z przepięknym łukiem brwi. Ależ naturalnie, to ta mała Channing!

Coprawda w szalu i mantyle wyglądała o wiele starszej. Dojrzałe, poważne spojrzenie na fotografii było zapewne też poza, a w najlepszym razie przecuciem losu kobiety.

Druga fotografia była bardzo żywym i wesołym zdjęciem migawkowym. Darrow, Wirginja Channing i jej córka leżeli rozbawieni w piasku. Tutaj widać było, że córka Wirginji jest jeszcze dzieckiem.

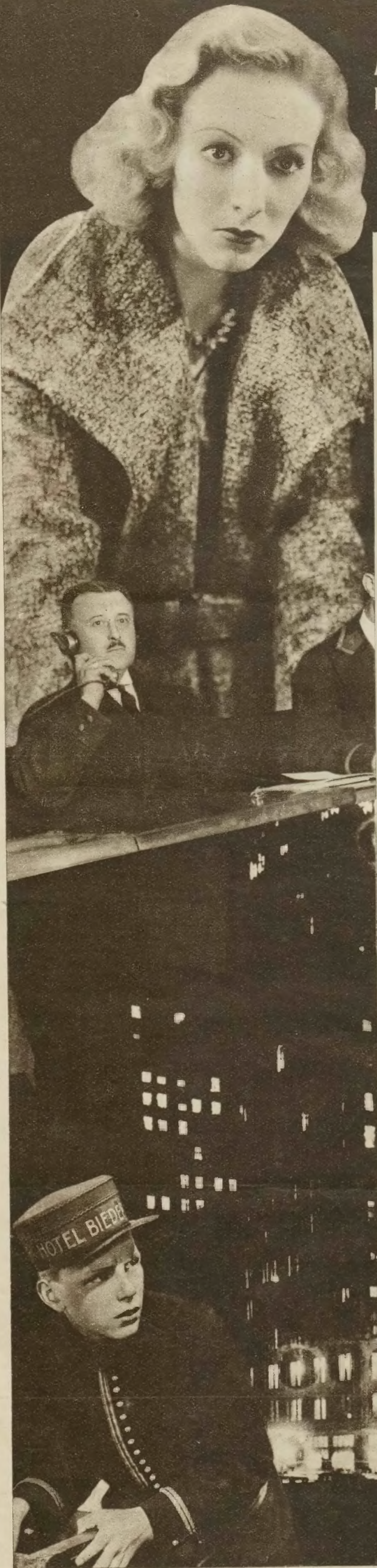
— Grupa rodzinna — pomyślał mimowoli Ryder.

Darrow otaczał po ojcowsku szczerze ramiona dziewczynki. Ryderowi przyszło na myśl cyniczne pytanie Devila co do podobieństwa.

Nie mogło się to jednak w żaden sposób zgadzać. Pamiętał jeszcze dokładnie ów dzień, w którym Darrow wspomniawszy mu po raz pierwszy o Channingach, Fil zachwycał się wówczas, iż poznał przemile małżeństwo z ślicznym dzieckiem.

Darrow opowiadał mu również, że Channing był inwalidą wojennym.

Zamyśliwszy się, postawił fotografie zpowrotem na miejsce i wyszedł do przedsionka, gdzie Ryder stał jak czujny buldog przed „młodą osobą“, jak ją poprzednio nieprzystępny Derwish określił.



Była to zgrabna kobietka o ciemnych, błyszczących oczach, mocno wymalowana i najwidoczniej nie uznająca mody długich sukien. Jej jaskrawo czerwona sukienka i tej samej barwy płaszcz, stanowiły piękny widok dla każdego miłośnika pięknych nóżek kobiecych.

— No już szef nadechodzi — powiedział z ulgą Ryder. — Będzie mu pani mogła wszystko opowiedzieć.

Ptasia twarzyczka dziewczyny z przyklepionym do niej sacharynowym uśmiechem zwróciła się ku Ryderowi. Wykrzywiła uszunkowane wargi w grymas, który uważała niewątpliwie za coś osniewającego.

— Nazywam się Minn — swiergotała — Topsy Minn. Należę do zespołu pana Darrowa i jest tu u niego jeszcze część mej roli. Zdaje się, że zamierzał niektóre sceny nieco zmienić. Muszę koniecznie mieć moją rolę.

— Najpierw usiądźmy sobie wygodnie — uśmiechnął się pobłażliwie Ryder i zaprowadził ją do salonu, gdzie Derwish, z instynktownie nieomylną zdolnością do teatralnych efektów, spuścił już firanki. Ryder był zmuszony zapalić światło.

— Tu są w tej rzeźbionej szafie... chciałam powiedzieć, jest ta rola — powiedziała dziewczyna, wskazując wielką flamandzką szafę, stojącą między oknami. Widać było, że jest tu jak w domu.

— Tak, a teraz proszę mi szczerze powiedzieć, czego pani chce?

Rzuciła mu badawcze spojrzenie, w którym przejawiała się pewna obawa. Wydawała się bardzo podniecona. Ryder czekał cierpliwie.

Po chwili wyrwało się jej:

— Nie wygląda pan na opryskliwego policjanta. Wydaje się pan nawet gentlemanem, człowiekiem, z którym można rozsądnie porozmawiać. Jako gentleman, wie pan, jak to na świecie bywa, prawda? Chcę dostać mój list... Nie chcę absolutnie być wmieszana w tę sprawę.

— Myślałam, że pani przyszła po swą rolę?

— Ach, gadanie! — zapomniawszy o wytwornych manierach. — Musiałam tak pobujać tego głupasa, tam przy drzwiach. Lecz pan jest światowcem, panie prokuratorze. Panu napewno nie będzie obojętne, jeśli nazwisko porządnej dziewczyny zostanie wmieszane w tę głupią historię, chociaż ona ma z tem tyle wspólnego co... włoska zakonnica...

— Dlaczego miałaby pani być w to wmieszana?

Wydawało się, jakby chciała nań mrugnąć, lecz nagle w jej oczach zjawiała się podejrzliwość.

— Dlatego, że... — zaczęła, oceniając go wzrokiem — byłam bardzo zaprzyjaźniona z panem Darrowem. Nie było w tem nic nieprzyzwoitego. Zupełnie bez tego, aby... No i...

Wahała się, dopóki Ryder nie dał jej do poznania skinięciem, że ją w zupełności rozumie.

— Wiec jak to bywa, bawiliśmy się razem, lum-powaliśmy trochę i Fil... to jest pan Darrow... przyrzekł mi też wkońcu jakąś rolę. Jestem bowiem w balacie. Ale obiecywać łatwo, a potem się dopiero pokazuje, że nie z tego — ciągnęła dalej ze złością. — Ale człowiek chwytą się każdej nadziei, a ponieważ nasza druga subretka i tak chciała odejść... No i wogóle... Lecz teraz i tak wszystko jedno!

Zauważyła, że Ryder słuchał uważniej i opanowała wrzaskliwe podniecenie.

— Wkońcu stało się tak, jak to zawsze u nas bywa. Chodził ze swymi gaskami z towarzystwa, a ja zostałam jak głupia... Naprawdę wyuczyłam się przyrzeczonych roli i tańców... Ach, wogóle byłam zwarjowana...

Wyglądała teraz, jak obraz rozpaczny.

— Może to jednak podle z mej strony i... Jak pan myśli, przecie nie jest wykluczone, że byłby mi dał tę rolę, a teraz przeszkodziła temu ta okropna historia.

Ryderowi żal jej było doprawdy w tej chwili. — Napewno byłby to uczynił — zapewnił ją serdecznie.

Ale mała kobietka wyszła już z łagodnego nastroju i potrzaskała z przesadą głową.

— Ach, gdzie tam. Teraz człowiek sobie tak wmawia. Dzwoniłam przecie sto razy dziennie, czatowałam na niego, a potem napisałam mu raz list... Możliwe, że nie miałam prawa pisać tego wszystkiego, co było w tym liście, ale byłam po prostu szalona. Boże święty, czego ja nie nabażgrałam w tym liście! Że wydrę mu serce i pokraję, gdyż nie w niem niema oprócz świństw i że odplacę mu za wszystko w okropny sposób i to prędzej niż on przypuszcza, i że wiem o nim niejedno... (Ciąg dalszy nastąpi).

HUMOR

i politywki umysłowe

Błyskawiczny wywiad.



— Kusociński...?
— Nie, policja!

Zmysł polityczny.



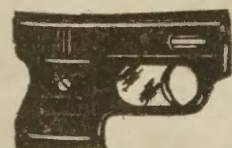
Przechodzień: A możebyśmy tak zawarli pakt o wzajemnej nieagresji...?

Wrażliwy więzień.



-- Drzwi, na miłość Boską!!!

Szczyt techniki - to apat.
AUTOMAT-BROWNING.



mod. 1934 r., oksydowany, czarny, wyrzucający sam gilzy, strzelający do celu i ptactwa. Cena zł. 8.75, 2 szt. 16.50; 100 kul metal. 3.65. Szczoteczka do lufy darmo. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłka za zaliczką. — Adr. Przedst. J. TENENBA, WARSZAWA ul. Warecka, skrz. poczt. 363, oddz. T.

ZADANIE DETEKTYWICZNE Nr 69.

Do znanego kolekcjonera starożytności lorda A. zgłosił się młody człowiek, wyjawiając chęć zobaczenia jego cennych zbiorów.

Gospodarz, który lubił popisywać się swymi nabytkami, chętnie pokazywał gościowi zebrane dzieła sztuki. Między innymi pokazał mu przepiękną kameę grecką, pochodzącą z wykopalisk pompejańskich.

„Niestety istnieje jeszcze drugi identyczny egzemplarz, który jednakowoż niewiadomo gdzie się znajduje” — objaśnił starszy pan.

Oglądając całą kolekcję, młody człowiek podziękował i pożegnał lorda. Wieczorem tego samego dnia wpadł

targach i za bardzo wysoką cenę udało. Zadowolony schował cenną zdobycz i pożegnał profesora. Zaledwie lord A. opuścił pokój hotelowy, miejsce spotkania, zjawił się przedsiębiorczy młodzieniec i z radością dowiedział się o udanej transakcji, poczem zawołał: „a teraz copredzej pakujemy manatki i uciekajmy, zanim szanowny lord A. przybędzie do domu”...

Na podstawie wyżej zamieszczonego stanu faktycznego należy odpowiedzieć na pytanie: 1) Jakiego czynu karygodnego dopuścili się obaj współnicy?



Lord zobaczywszy kameę, długo i troskliwie ją badał...

do swego kolegi i opowiedział o swej wizycie u starego zbieracza.

„Wyobraź sobie, dodał, że tak długo szukałem po najrozmaitszych antykwariach, aż udało mi się wreszcie wyszperać w jednej z nich drugi egzemplarz cennej kamei. Jest niewątpliwie autentyczny i nabyłem go dość tanio, ponieważ właściciel nie orjentował się w jego wartości. Chodzi teraz o to, żeby kameę sprzedać lordowi A. za możliwie najwyższą cenę. Obmyśliłem niewinny trick, do którego wykonania potrzebna mi będzie twoja pomoc”.

Kilka chwil później do lorda A. zgłosił się telefonicznie profesor historii sztuki, który bawiąc w przejeździe w Londynie, prosił lorda A. o spotkanie w sprawie dotyczącej jego kolekcji. Wszystko, co miało jakąkolwiek łączność z kolekcją, jego największą namiętnością, interesowało lorda niezmiernie, toteż natychmiast przystał na spotkanie. „Profesor” przedstawił lordowi sprawę, w której zwracał się do niego. Jest mianowicie posiadaczem wspaniałej kamei pompejańskiej, a ponieważ dowiedział się, że drugi taki egzemplarz znajduje się w posiadaniu lorda, chciałby go za wszelką cenę odkupić!

Lord zobaczywszy kameę, długo i troskliwie ją badał, poczem doszedłszy do przekonania, że cenne to dzieło sztuki w zupełności odpowiada drugiemu, będącemu jego własnością, nie chciał nawet słyszeć o sprzedaży swej kamei, natomiast z wielką natarczywością upierał się przy kupnie kamei „profesora”, co mu się też po długich

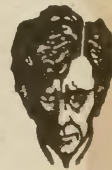
2) Który z nich był głównym winowajcą?

3) Dlaczego obaj natychmiast po dokonaniu transakcji uciekli, chcąc się znaleźć za granicami Londynu, zanim lord A. przybędzie do domu?

Odpowiedzi na powyższe pytania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 15-go marca b. r. Trafne otrzymają 2 nagrody: 1) w kwocie Zł. 15, 2) książkę poczytnego pisarza.

Czytelnikom Tajnego Detektywa bezpłatnie.

Światowej sławy psycho-grafolog, Redaktor Szyller-Szkolnik, autor prac naukowych, określa charakter, zdolności, przeznaczenie. Wyszczególnia najważniejsze fakty życia, radzi jak żyć, czynić i postępować, aby zwycięsko przeciwstawić się losowi. Ponadto na zasadzie astrologii i obliczeń kabbalistycznych, wybiera dla każdego szczęśliwy numer losu do bieży. Loterii Państwowej i wskazuje, gdzie takowy nabyć można. Natychmiast napisz imię, rok i miesiąc urodzenia (stan rodzinny). Nie przysyłaj żadnego wynagrodzenia, lecz tylko na koszt poczt. i kanc. załącz 1 złoty w znaczkach pocztowych. Na los Nr. 122.627, wybrany przez p. Szyllera-Szkolnika, padła wygrana 150.000 zł. Na niewielką ilość wybranych numerów padło mnóstwo wygranych, lecz z braku miejsca podajemy tylko niektóre: Cabala Józef, Limanowa, urzędnik rafinerii 10.000 zł., Kuhn Jan, Łódź, Młynarska 25 — 5.000 zł. Pozatem wiele osób, którym przypadły większe wygrane, postanowiły zachować incognito, co zobowiązuje nas do nieujawniania nazwisk. — Przyjęcia osobiste płatne cały dzień. Warszawa, Redakcja „Świt”, Żółwia 47. Psycho-grafolog Szyller-Szkolnik. — Ogłoszenie załączyc. 21



ADMINISTRACJA
KRAKÓW, UL. WIEŁOPOLE L. 1 (PAŁAC PRASY)

REDAKCJA

PRENUMERATA

TELEFONY: 150-60 do 150-66
KONTOP K.O KRAKÓW 412.000

Wydawca:
Spółka Wydawnicza „KURIER”.
Redaktor odpowiedzialny:
JAN STANKIEWICZ

KWARTALNA WYNOŚI ZŁ. 3.50

Tajny DETEKTYW
TYGODNIK KRYMINALNO-SĄDOWY

Zakłady Graficzne „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego

OGŁOSZENIA: Strona dzieli się na 3 łamy à 80 mm. Cena za 1 mm w jednym łamie 70 gr. Drobne za słowo 15 gr. Nadesłanych artykułów nie zwraca się.

Tajny

DETEKTYW



PO WALCE!

Ambulanse Czerwonego Krzyża, stojące przed kawiarnią „Weber” na rue Royale w Paryżu podczas ostatniej rewolty. — Wewnątrz numeru szczegółowy reportaż.

Fot. Keystone.